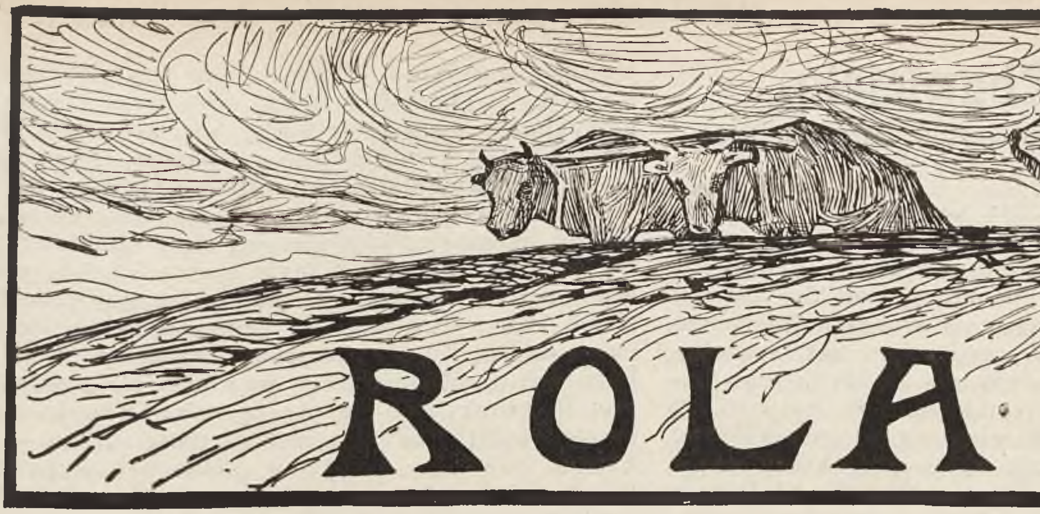


Rok V.
Kraków, dnia 28 maja 1911 r.
Nr. 22.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Boże Stopki.

Gdy Dziecinka była mała,
To Je Matka całowała,
I kąpała, przewijała,
I w sandałki obuwała.

By, biegając między wrzosy,
Nie obtarła nóżki bosej,
By ściernią Dziecinka miła
Stopek sobie nie zraniła.

Na tych stopkach Jezus mały
Biegał sobie dzionek cały
Po podwórku albo w chacie
U Józefa przy warsztacie.

Między trzaski, wióra, troty,
Śród śpiewania i pieszczoty,
Bo jeszcze wesołe, hoże
Było wówczas Dziecię Boże.

A gdy stanął dnia jednego
Do warsztatu ciesielskiego,
I na młode kładł ramiona
Ciężkie tramy i bierwiona;

To z warsztatu aż do szopy
Wydeptały święte stopy
Ścieżkę pośród chwastu, ziela,
Zwaną: „Ścieżką Zbawiciela".

Krople potu ją zrosiły,
Bo był to trud ponad siły!
Później, gdy wśród uczniów koła
Spieszył między ludne sioła

I ziarnem nauki Boskiej
Darzył ludność każdej wioski,
To te stopy niestrudzone,
Brnąc przez piachy rozpalone,



Poprzez ściernie, ostre głazy,
Przemierzyły wiele razy
Wszerz, wzdłuż całą Palestynę,
Nie spocząwszy odrobinę...

Nie znalazły chłodu, cienia,
Ni oparcia, ni wytchnienia!
Odpoczęły — któż z nas nie wie,
Aż na strasznem krzyża drzewie,

Gdy w nie gwoździe pogrążono,
I do krzyża przytwierdzono...
Bo taki spoczynek miła
Ludzkość Panu obmyśliła!

A gdy Pana zdjęto z krzyża,
Matka do nóg się uniża,
I całuje zastygnięte;
Syna swego stopy święte;

Gwoździe srogie z nich wyjmuje,
Szlochając, rany całuje,
Aż boleści drżąca, blada,
Do grobu je — płacząc — składa.

Ale Jezus zmartwychstały
Odchodząc do Swojej chwały,
Ludzkości w chwili rozstania
Jeszcze jeden znak kochania

Pozostawił w sposób dziwny
Na szczycie Góry Oliwnej:
Oto wznosząc się w obłoki
Ku niebu z twardej opoki,

Zostawił nam w skałach litych
Ślady swoich stóp przebitych.
Ślady te dotąd przetrwały
I ma je we czci świat cały.

Jacek Obrochta.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

—×—

1. Wieża Antonii. Cela nr. VI.

Opowiadanie nasze posuwa się o 35 dni naprzód od chwili, w której Ben-Hur opuścił Antyochię, podążając za szeikiem Ilderimem na pustynię. W czasie tym zaszła wielka zmiana, wielka zwłaszcza co do losów naszego bohatera. Valerius Gratus został usunięty, na jego zaś miejsce prokuratorem Judei mianowano Pontusa Piłata.

Najgorsi nawet ludzie okupują niekiedy swoje nieprawości czynami, godnymi pochwały. I Pontus zmazał wiele win swoich jednem szczególniej rozporządzeniem. Nakazał on ogólny przegląd więzień w całej Judei, miał mu być przytem przedstawiony spis więźniów z wymienieniem zbrodni, za które ponosili karę.

Śledztwo wykryło potworne nadużycia. Wypuszczono na wolność setki osób, na których nie ciężyło żadne oskarżenie; odnaleziono i takie, co poczytywane były za umarłe. Nie dość na tem, w więzieniach były cele, o których nie wiedzieli nawet ani dozorcy. Jednę z takich cel odkryto w samej Jerozolimie.

*

Rozkaz nowego prokuratora wykonany został natychmiast. Już dwa dni ubiegało od chwili, gdy ostatni z więźniów baszty Antonii stawał przed wysłańcami Pontusa. Na stole trybuna, dowodzącego załogą, leży już gotowe sprawozdanie; za kilka minut ma być wysłane do wielkorządcy na górę Syon.

Zbliża się siódma godzina dnia. Dostojnik rzymski wyczekuje jej z upragnieniem i cieszy się, że za chwilę, gdy wyśle swój raport, będzie mógł po całodziennych trudach napawać się świeżem powietrzem na dachu kolumnady. Lecz oto we drzwiach, wiodących do dalszych komnat, ukazał się właśnie jakiś człowiek, brzękając pękiem ciężkich, jak młoty, kluczów.

— A, Gesius! wejdź — rzekł uprzejmie trybun.

Nowoprzybyły podszedł do stołu, przed którym siedział jego zwierzchnik wraz z kilkoma innymi urzędnikami. Wszyscy zauważyli na twarzy przybysza wielkie zakłopotanie.

— Trybunie! — począł mówić głosem zniżonym — obawiam się powiedzieć ci, z czem przychodzę.

— Nowa pomyłka. Co?

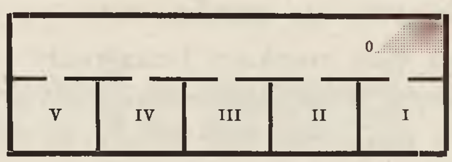
— Ośm lat minęło już od chwili, gdy Valerius Gratus mianował mnie dozorcą więźniów w tej baszcie. Pamiętam poranek, w którym objąłem mój urząd. Poprzedniego dnia była bójka na ulicach Jerozolimy. Zabiliśmy wielu żydów, lecz i naszych zginęło niemało. Zamieszanie to zostało wywołane, jak powiadano, targnięciem się na życie Gratusa. Jakiś Żyd zrzucił cegłę na głowę prokuratora z takim rozmachem, że aż obalił go z konia. Widzę go jeszcze, jak siedział z głową obwiązaną, przy tym samym stole, przy którym ty siedzisz dzisiaj, zacny trybunie! Zawezwał mnie przed siebie, aby mi oznajmić, że odtąd miałem być stróżem więziennym i wręczył mi te oto klucze. Przy każdym z nich jest numer celi, którą można nim otworzyć. Nie miałem się rozstawać z tymi kluczami nigdy, ani w dzień, ani w nocy — tak brzmiał jego rozkaz. Na stole przed prokuratorem leżał zwój pergaminu. Kazał mi zbliżyć się i rozwinąwszy go rzekł: »Oto są plany więzień. Tu masz pierwsze piętro, tu drugie, a ten oto — najważniejszy plan — przedstawia podziemie. Oddaję ci je w zaufaniu«. Planów było trzy. Wziąłem je z rąk jego. On mówił dalej: »Oto masz klucze. Idź natychmiast i zapoznaj się z całem urządzeniem: zwiedź każdą z cel, a jeśli zauważysz, iż potrzebne są jakie zmiany dla zabezpieczenia więźniów, zarządź je według własnego uznania. Ty jeden, po mnie, jesteś tu panem«. Skłoniłem mu się i zabierałem się do odejścia. Przywołał mnie znowu. »Ach! byłbym zapomniał — rzekł. — Podaj mi jeszcze plan podziemi. Patrz, Gesiuszu, czy widzisz tę celę?« Położył palec na przedziale, oznaczonym numerem V. »Troje ludzi jest zamkniętych w tej celi... troje zbrodniarzy. Podpatrzyli oni tajemnicę stanu i odpokutowują tę ciekawość — tu popatrzył na mnie surowo — ciekawość bowiem — dodał — w podobnych wypadkach równa się zbrodni, co mówię, przewyższa ją! Więc wydłubano im oczy, obcięto języki i wrzucono do ciemnicy. Pozostaną tam, dopóki nie zgniją. W murze ich celi jest otwór, przez niego możesz im podawać chleb. Czy słyszysz?« Odpowiedziałem skinieniem głowy. »Jeszcze jedno — dodał z groźbą w głosie i spojrzeniu — drzwi więzienia tego niema nikt nigdy otwierać, pod żadnym pozorem, nikt, ani ty nawet«. »A jak pomrą?« — pytałem. »Więzienie będzie im grobem. Zamknięto ich tu po to tylko, aby zginęli marnie. Cela zarażona jest trądem. A teraz możesz iść. Głową swoją odpowiesz mi w razie nieposłuszeństwa«. Tak mówił do mnie trybun w ów pamiętny poranek.

Gesiusz umilkł i z zanadrza wyjął zwoje pożółkłych pergaminów. Rozwinąwszy jeden z nich, położył go przed trybunem i rzekł:

— Oto jest plan podziemia, który otrzymałem od Gratusa.

Wszyscy pospieszyli, aby mu się przyjrzeć. — Mapa była taka:

Plan.



— Patrz! Tu jest cela numer piąty — wskazywał Gesiusz.

— Widzę — odparł trybun. — Jest ona, jak powiadasz, zarażona trądem. Cóż więcej?

Dozorca był pomieszany, widocznem było, że boi się mówić dalej.

— Zacny trybunie — rzekł wreszcie — czy pozwolisz mi zadać jedno pytanie?

Trybun skinął głową na znak potwierdzenia.

— Jak sądzisz, trybunie, czy wolno mi było nie wierzyć słowom prokuratora?

— Obowiązany byłeś w nie wierzyć — odrzekł surowo rzymski dostojnik.

— A jednak, trybunie, plan ten jest fałszywy.

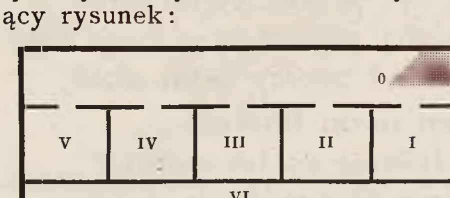
Trybun spojrzał ze zdziwieniem.

— Jest fałszywy — rzekł dozorca — wskazuje tylko pięć cel podziemnych, a takich jest... sześć.

— Sześć, powiadasz?

— Pokazuję ci prawdziwy rozkład podziemi, czyli raczej taki, jakim mnie się wydaje.

Na jednej ze swych tabliczek narysował Gesiusz następujący rysunek:



— Dobrze — mówił trybun, rzucając nań okiem i myśląc tylko o tem, jakby czemprędzej odprawić dozorcę. — Każę sporządzić plan nowy. Przyjdź jutro po niego. Mówiąc to, powstał.

— Nie skończyłem jeszcze, trybunie.

— Jutro, Gesiuszu, dopowiesz mi resztę.

— To, co mam powiedzieć, trybunie, nie może czekać do jutra.

Przeklinając w duszy tę mitręgę, usiadł dostojnik znowu.

— Nie zabiorę już dużo czasu — mówił pokornie dozorca — pozwól mi tylko zadać jeszcze jedno pytanie. Czy wolno mi było nie wierzyć Gratusowi w tem, co mi mówił o więźniach, zamkniętych w celi pod numerem piątym?

— Obowiązany byłeś wierzyć, że w celi tej jest trzech więźniów stanu z wyłupanemi oczyma i uciętymi językami.

— A jednak... i to było nieprawdą.

— Jakto? — pytał zaciekawiony trybun.

— Posłuchaj mnie i osądź sam. Odszedłszy od prokuratora, zwiedziłem wszystkie więzienia, począwszy od cel drugiego piętra, aż do podziemnych lochów. Rozkaz Gratusa został uszanowany. Przez lat ośm drzwi piątego numeru nie otworzyły się przed nikim. Przez otwór w murze wsuwałem chleb i wodę. Teraz wyszły nowe rozporządzenia. Stosując się do nich, wczoraj właśnie udałem się z podwładnym mi stróżem do celi, gdzie zamknięci byli owi więźniowie, którzy, wbrew wszelkim przewidywaniom, żyli jeszcze. Chciałem ją otworzyć. Klucz nie wchodził w zamek. Wstrząsnęliśmy drzwiami, wypadły z zardzewiałych zawiasów. W celi był jeden tylko człowiek — starzec ślepy, nagi i z odciętym językiem. Włosy w splątanych kudłach spadały mu poniżej pasa. Skóra na nim podobna była do tego oto pergaminu. Wyciągnął do mnie ręce, a olbrzymie jego paznogcie były zakrzywione, jak szpony u drapieżnego ptaka. Zapytałem, gdzie byli jego towarzysze. Potrząsnął głową, jak gdyby zaprzeczał czemuś. Co chciał przez to powiedzieć, niepodobna było odgadnąć. Przetrząsnęliśmy całą celę. Nie było ani śladu jego towarzyszów. Gdyby istotnie zamknięto tu trzech ludzi, a dwaj z nich umarli, pozostałyby po nich choćby kości. Pewien jestem, że przez całe lat ośm w celi pod piątym numerem był tylko jeden więzień.

Trybun spojrzał ostro na Gesiusza.

— Licz się ze słowami — zawołał. — Zdaje się, iż chcesz oskarżać o kłamstwo zacnego Valeriusa.

— Mógł być w błędzie — odparł Gesiusz.

— Nie — przerwał trybun — on musiał mieć słuszność. Wypływa to nawet z własnych twoich zeznań. Czyż nie mówiłeś sam, że przez lat ośm podawano trzem ludziom pokarm i napój?

Obecni zdawali się podziwiać przenikliwość swego zwierzchnika. Gesiusz jednak nie stropił się tem wcale.

— Znasz tylko połowę tej sprawy, o trybunie, gdy wysłuchasz całej, zgodzisz się ze mną. Wiadomem ci jest, com uczynił z tym człowiekiem; wiesz, że odesłałem go do kąpieli, kazałem go ostrzydz i odziać w świeże szaty, a wyprowadziwszy go za bramy baszty, puściłem na wolność. Zdawało mi się, że nie posłyszę już o nim więcej. Aż oto dziś powrócił tu znowu, płacząc i zawodząc żałośnie. Przyprowadzono go do mnie. Zrozumiawszy z jego znaków, że chce powrócić do swego więzienia, kazałem go tam zawieść, lecz gdy go chciano wyprowadzić, rzucił mi się do nóg, błagającem spojrzeniem i ruchami wskazując, żebym szedł za nim. Tajemnicze zniknięcie dwóch jego towarzyszów niepokoiło mnie ustawicznie. Poszedłem. Jakże teraz się cieszę, żem uległ jego prośbom.

Wszyscy słuchali zaciekawieni.

— Gdyśmy przyszli do celi i starzec, macając rękami mury, poznał długoletnie swe mieszkanie, schwycił mnie za rękę i przyprowadził do otworu, podobnego do tego, przez który podawaliśmy mu pożywienie. Dziwię się, żem go nie dostrzegł wczoraj. Jest tak wielki, że twój hełm, o trybunie, mógłby swobodnie przejść przezeń. Trzymając mnie wciąż za rękę, starzec wsunął głowę w otwór i wydał przeraźliwy okrzyk, podobny do ryku dzikiego zwierza. Odpowiedział mu słaby, zaledwie dosłyszalny głos. Zdumiony tem, odsunąłem starca i począłem wołać: »Hola! kto tam?« Z początku nie było odpowiedzi. Wołałem znowu. Tym razem, jakby z pod ziemi doleciał mnie przytłumiony dźwięk ludzkiej mowy. »Bądź błogosławiony, o Panie!« — słyszałem wyraźnie. Co dziwniejsza, był to głos kobiety. »Kto jesteś?« — pytałem znowu. »Izraelska niewiasta, zagrzebana tu żywcem z córką. Umieramy, ratuj!« — Tak brzmiała odpowiedź. Zostawiłem je z nadzieją, a sam przybiegłem tutaj.

Trybun spojrzał po swoich podwładnych i sądząc, że w tem, co mu przyjdzie uczynić, lepiej jest gdy będzie miał świadków, rzekł:

— Musimy oswobodzić te kobiety. Chodźcie ze mną!

Gesiusz był uradowany.

— Trzeba będzie rozwalić mur — tłómaczył. — Odnalazłem ślady drzwi, które jednak są szczelnie zamurowane.

Trybun zwrócił się do jednego z urzędników.

— Zawołać murarzy! — rzekł. — Niech przyjdą z narzędziami. Spiesz się! Raport nie odejdzie dzisiaj, widzę bowiem, że trzeba go będzie uzupełnić.

Wszyscy opuścili spiesznie komnatę.

2. Trędowaci.

»Izraelska niewiasta, zagrzebana tu żywcem z córką. Umieramy, ratuj!«

Taką odpowiedź dozorca Gesiusz otrzymał z celi oznaczonej na jego planie numerem V-tym.

Czytelnik nasz, słysząc ją wraz z nim, musiał sobie zapewne powiedzieć: »Nareszcie! znalazła się matka Ben-Hura i siostra jego, Tirzah«.

Istotnie, były to one.

Gratus chciał ukryć je przed ludzkiem okiem i obrał w tym celu basztę Antonii — jako będącą pod bezpośrednim jego nadzorem i celę pod numerem VI, ta bowiem najłatwiej mogła być odciętą od innych, a powtóre zarażona była trądem. Nie dość je było wtrącić do więzienia, kobiety te musiały umrzeć.

To też, gdy noc nadeszła, dwóch niewolników przyprowadziło je tutaj. Ciż sami niewolnicy zamurowali drzwi celi, poczem wysłano każdego z nich w inną stronę kraju, tak aby ślad po nich zaginął.

Gratus mógł wprawdzie pozbyć się daleko łatwiej tych dwóch bezbronnych kobiet — dwa pchnięcia nożem i byłoby po nich; ale wolał pozostawić je powolnej a niechybnej śmierci, aby w razie wykrycia całej sprawy mógł zasłaniać się tem, iż wymierzył jeno zasłużoną karę.

Dlatego to do przyległej celi wrzucono więźnia, któremu kiedyś za wykroczenie jakieś ucięto język i wyłupano oczy. Człowiek ten miał im podawać napój i pożywienie. W razie nawet najsurowszego śledztwa, nie mógłby nic wyjawić, ani też wydać nazwiska uwięzionych kobiet lub ich prześladowcy.

Zuchwały ten plan, obmyślany wspólnie z Messalą, pozwolił im obu, pod pozorem skazania rodzi-

ny Hurów, zagarnąć cały jej majątek. Ani cząstka jego nie wpłynęła do szkatuły cesarza. Dla zatarcia śladów Gratus usunął dawnego dozorcę więzienia, sporządził nowe plany, opuszczając celę pod numerem VI i wręczył je nowo mianowanemu dozorcy.

Cela pod numerem szóstym była wilgotną norą, ściany jej były nagie, ociekające od wilgoci.

Jakże się bardzo zmieniły! Nie same to lata wycisnęły na nich takie piętno. Matka była niegdyś piękną niewiastą; córka — pięknem dziewczęciem; dziś obie budzą mimowolną odrazę.

Tirzah tuli się do matki z jękiem.

— Bądź spokojna, dziecię, oni przyjdą — oni muszą nadejść — mówi izraelska niewiasta — Bóg jest dobry! Nie traćmy nadziei.

Tak mówiła matka a słowa jej uspokajały Tirzę. Zaledwie lat ośm przybyło do trzynastu, które miała, gdyśmy ją widzieli po raz ostatni, pomimo to jest ona już niewiastą dojrzałą.

— Matko! język mnie pali, w gardle piecze! Wody, matko, wody chociaż kroplę! — poczęła znowu jęczeć Tirzah.

I skądże ona weźmie jej tę kroplę wody? Ta, co była niegdyś księżną Hur, z rozpaczą ogląda się naokoło.

— Cierpliwości, Tirzo! — szepcze, dobywając z trudnością głosu. — Cierpliwości. Oni nadchodzą. Już są blisko.

Lecz cóż to? Do uszu jej dolata jakiś szmer. Czyżby ją słuch mylił? Nie! Istotnie w celi rozległ się właśnie dziki krzyk niemego. Tirzah usłyszała go także. Podtrzymując się wzajemnie, powstały.

Głos był im obcy, lecz tem niemniej miły. Po raz pierwszy od lat ośmiu usłyszały dźwięk mowy inny, oprócz swego.

— Izraelska niewiasta, zagrzebana tu żywcem z córką! Umieramy! ratunku!

Taką odpowiedź usłyszano przez otwór w celi numeru V-go.

— Poczekajcie, wrócę zaraz! — doleciało w zamian do uszu dwóch nieszczęśliwych.

Załkały głośno. Nareszcie! Zostały odnalezione.

Trybun, usłyszawszy o istnieniu zamurowanych, wziął się natychmiast do dzieła. Za chwilę był już w podziemiu. Zarządził odmurowanie drzwi. Księżna usłyszała silne uderzenie nad swoją głową. Uderzenia powtarzały się to wyżej, to znowu niżej. Czyżby rozwalano mur? Tak, najwyraźniej, był to huk młota. Wybijano drogę, przez którą wejść miała do nich — wolność. Uderzenia z każdą chwilą stawały się wyraźniejsze. Padł jeden gruz, za nim drugi, trzeci, a każdy usuwający się kamień zbliżał o jeden krok do wolności te dwie zagrzebane żywcem ofiary.

Nagle, o nieopisane szczęście! błysnęło czerwone światło pochodni. W ciemności tej zaświeciły one, jak jutrzenka wybawienia.

Do celi wpadł duży odłam muru, potem jeszcze większy, potem zwalił się cały stos kamieni. Drzwi stanęły otworem. W pyle tym i gruzach ukazał się człowiek z pochodnią w ręku; poza nim kilkunastu innych uszykowało się w dwa szeregi, pozostawiając wolne przejście dla trybuna. Dostojnik rzymski chce sam zwiastować oswobodzenie tym nieszczęśliwym.

— Ha! Cóż to? — one kryją się w najdalszy kąt podziemia. Czyżby z obawy? Nie. Są nagie — więc ze wstydu?

Z ciemności dolatują słowa, brzemienne rozpaczą. W całej mowie ludzkiej niema tak bolesnych:

— Zdala od nas! Nieczyste! nieczyste!

Pochodnie zadrżały w ręku robotników. Wszyscy spojrzeli po sobie z trwogą.

— Nieczyste! nieczyste! — rozległ się ponownie groźny, rozpaczliwy okrzyk.

Z okrzykiem takim musiał odchodzić od wrót raju duch, strącony w wieczne ciemności.

Obie z Tirzą były trędowate!

Dziś trudno nam jest pojąć całą grozę, zawartą w tych słowach, lecz zajrzyjmy do ksiąg ówczesnego prawa: »Tych czworo zaliczeni są do umarłych: ślepy, trędowaty, ubogi i bezdzietny».

Być trędowatym, znaczyło to być trupem i jako trup wyrzuconym z miejsc, zamieszkałych przez ludzi; znaczyło to do najukochańszych i najbliższych módz przemawiać tylko z pewnej odległości; obcować jeno z podobnymi sobie skazańcami; być wykluczonym z pod prawa; odepchniętym na zawsze od wrót Świątyni; za całe odzienie mieć łachman; otwierać usta po to tylko, aby odstraszać od siebie ludzi okrzykiem: »Nieczysty! nieczysty!« szukać schronienia na pustkowiach lub w zaniedbanych grobowcach; stać się żyjącym cieniem; budzić wstręt i postrach w innych, a w samym sobie odrazę.

Pewnego dnia — czyż mogła wiedzieć jak dawno, gdy w celi tej straciły rachubę czasu — pewnego dnia wdowa Hura poczuła pieczenie dłoni prawej ręki; niedługo potem wystąpił na niej liszaj. Zwilżała go wodą, lecz zamiast znikać, zwiększał się coraz bardziej. Zrazu mało zwracała na to uwagi i kryła się z tem przed córką, lecz wkrótce i Tirzah także zaczęła doświadczać podobnych objawów. Choroba czyniła nieubłagane, acz wolne postępy, przysypując szronem ich głowy, wygryzając dziury w ustach i powiekach, okrywając ciało ich strupami. Potem rzuciła się na gardło, nadając ostry, chrapliwy dźwięk ich głosowi; przeszła następnie do stawów; stężały od niej tkanki i chrząstki.

Trybun że drżeniem wysłuchał złowrogich słów, ale się nie cofnął.

— Powiedz mi, kobieto, jakie twe nazwisko?... kiedy zostałaś uwięzioną? Przez kogo i za co?

Ona zabrała głos w te słowa:

— Żył kiedyś w Jeruzalem książę; Hur było mu na imię — Ben Hur... Przyjaciółmi byli mu wszyscy szlachetni Rzymianie — sam cezar darzył go swą przyjaźnią... Jestem wdową po tym księciu, a to jest jego córka. Jakże ci mam powiedzieć za co nas uwięziono?... Sama nie wiem. Nie była żadnej po temu przyczyny... chyba nasze bogactwa. Lecz spytaj Valeriusa Gratusa — on może lepiej cię objaśnić, kto był naszym wrogiem i kiedy wtrącono nas tutaj? Ja nie wiem. Patrz oto, do czego nas doprowadzono, patrz i ulituj się!

Powietrze w ciemnicy było duszne, Rzymianin jednak kazał się zbliżyć jednemu z ludzi, trzymających pochodnie i spisał tę odpowiedź.

— Zostaniecie oswobodzone — rzekł, składając tabliczki — tymczasem przyszlę wam napój i pożywienie.

— Przyszlij nam jeszcze odzież i wody do umycia się! — prosiła matka.

— Życzeniu twemu, stanie się zadość.

— Bóg jest dobry! — powtarzała wdowa wśród łkań. — Niech pokój Pana będzie z tobą!

— Przygotujcie się — mówił trybun. — Dziś w nocy każę was wyprowadzić przed bramy. Będziecie wolne. Znasz prawo. Wiesz, gdzie się udać. Żegnam cię, wdowo Hura.

Skinął na towarzyszących mu ludzi i wyszedł wraz z nimi. Wkrótce niewolnicy ukazali się we drzwiach, niosąc wodę, ręczniki, chleb, mięso i odzież. Złożyli wszystko to na progu i uciekli ze strachem.

Gdy noc zapadła, obie nieszczęśliwe niewiasty wyprowadzono za wrota. Były wolne!

Wzniosły oczy ku niebu, rzucając mu bolesne, beznadziejne pytanie:

— Gdzie iść? i co będzie dalej?

(Ciąg dalszy nastąpi).

WNIEBOWSTĄPIENIE PANA JEZUSA.



W dniu 25 b. m. obchodzi Kościół święty piękną i wzniosłą uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego. Pomimo, że życie i śmierć Pana naszego były dobrowolną ofiarą Jego na odkupienie nas, że były dobrowolną ofiarą za grzechy nasze, pomimo tego jednak Wniebowstąpienie Jego musiało być chwilą pełną radości i chwały dla Zbawcy naszego.

Wiadomo, że Pan Jezus po swem zmartwychwstaniu jeszcze czterdzieści dni pozostał na ziemi a dopiero po upływie tego czasu pełen chwały wstąpił do nieba, aby tam Ojcu swojemu rzec:

— Oto, Ojcze mój, wypełnionem zostało wszystko, co człowiek miał przyrzeczone od pierwszych dni istnienia świata. Zeszedłem na ziemię i cierpiałem za ludzi prześladowania i męki, znosiłem urągowiska i hańbę, a w końcu umarłem śmiercią haniebną na drzewie krzyża, aby dusze te, które zostały stworzone na obraz i podobieństwo Boże, wyrwać od zatracenia wiekuistego.

I wstąpił Pan pełen chwały do nieba, aby tam zasiąść po prawicy Ojca swojego i wspólnie z Nim rządzić światem po wieczne czasy. Wstąpił Pan Jezus do nieba nietylko po to, aby tam zażywać chwały wiekuistej i szczęścia nieskończonego, ale sam ofiarował się dobrowolnie i nadal otaczać lud swój opieką swoją świętą. Wstąpił Pan Jezus do nieba, aby nam w niem zgotować mieszkanie, gdy śmierć przetnie pasmo dni życia naszego. I mieszkanie to jest tam zgotowane dla nas od wieków, a tylko od nas teraz zależy, abyśmy to mieszkanie zajęli.

Lecz czy zajmiemy — oto pytanie, na które, niestety, odpowiedzieć niełatwo.

Jeżeli żyć będziemy tak, jak nam żyć polecił Pan Jezus, jeżeli będziemy pełnili przykazania Boże, to niezawodnie mieszkanie to zajmiemy; lecz jeżeli wiarę św. będziemy lekceważyć, jeżeli będziemy poniewierać religię, jeżeli to, co nam najdroższe być powinno, będziemy odsuwali na plan dalszy — na plan ostatni, to wtedy trudno nam marzyć nawet, abyśmy się tam dostać mogli.

»Wielu wezwanych, ale mało wybranych!« I rzeczywiście tak jest, bo Pan Bóg wszystkich nas wezwał do szczęśliwości wiecznej, ale my ją odrzucamy, słuchając ludzi przewrotnych i ich zgubnych haseł.

GAWĘDY O RÓŻNYCH SPRAWACH.

WYWŁASZCZENIE.

Obowiązkiem każdego narodu, jak zresztą także każdego człowieka starać się, aby był silnym i zdrowym, bo przez to nietylko sam będzie szczęśliwy, ale nadto, jako przyjaciel innego narodu, może mu wiele dobrego zdziałać. Wskutek tego inne narody będą się ubiegać o jego przyjaźń i cenić, a narody złe nie zechcą szukać z nim zaczepki, bo się takiego silnego i zdrowego narodu będą bać.

Do siły zaś i zdrowia narodu liczne prowadzą drogi. Tem się one odznaczają, że są daleko trudniejsze niż te drogi, które prowadzą do upadku. I tak np. siłą narodu jest miłość ojczyzny, do której są zdolni tylko ludzie dobrzy niezepsuci i nie zmateryalizowani. Dalej siłą narodu jest oświata, a każdy wie, że nabywanie oświaty kosztuje państwo i kraj ogromne sumy, i że daleko łatwiej być ciemnym, głupim niż uczyć się i patrzeć na ten świat trzeźwo i rozsądnie. O wiele też trudniej jest być oszczędnym, pracowitym, uczciwym i moralnym niż trwonić majątek, rozrzucać pieniądze, leżeć do góry brzuchem, kłamać i żyć nieuczciwie lub prowadzić życie rozpustne.

Przed stukilkudziesięciu laty, kiedy nasz naród był słaby, przyszli ci sami wrogowie, którzy, gdy byliśmy silni, brali od nas cięgi, przytem szanowali nas i rozdarli naszą wielką ukochaną Polskę po tysiącletniem istnieniu na troje.

I kiedy nas rozdarli na kawały, osłabili nas jeszcze bardziej i teraz czy Moskal czy Prusak wyzyskują nas i dręczą.

Przed dwoma laty uchwaliły Prusy przeciw nam ustawę, która pozwala każdego Polaka wyrzucić z jego ojcowizny, na to, aby na jego miejscu osadzić Niemca, i w ten sposób coraz bardziej osłabić Polaków w Poznańskiem, a wzmocnić wywrót niemiecki.

Obecnie w całej prasie niemieckiej wrze od nawoływań rządu pruskiego, aby przecież raz zaczął zastosowywać tę ustawę o wywłaszczeniu Polaków. Obecnie komisya budżetowa Sejmu pruskiego, obradując nad kolonizacyą księstwa poznańskiego przez Niemców, domagała się, aby rząd pruski czemprędzej zaczął wywłaszczać Polaków, bo, jak głosili niemieccy hakatyści, inaczej Polacy zawojują tam Niemców i staną się niebezpieczni. Gdyby rzeczywiście groziło ze strony części naszego narodu tak poważne niebezpieczeństwo Niemcom, tobyśmy powinni z tego być dumni, bo to zawsze wielka przyjemność, gdy się mnie boi zły i przewrotny człowiek, jakim jest Prusak. Ale hakatyści głoszą tylko na pozór, że się boją w rzeczywistości chcą zniszczyć Polaków w całym pruskim zaborze, wszystkich ich zniemczyć, a ziemie polskie zagrabić. Jest w Poznaniu komisya kolonizacyjna, która ma za cel wykupywania ziemi z rąk polskich i osiedlanie na niej Niemców. Komisya ta ma bank, który posiada na ten cel setki milionów. Jednak Polacy tamtejsi są dobrymi i dzielnymi Polakami, ziemię kochają całem sercem i nie chcą jej sprzedawać, to też komisya kolonizacyjna ma coraz trudniejszą robotę. Dlatego to hakatyści pruscy widząc, że Polacy dobrowolnie ziemi nie chcą sprzedać, chcą zastosować ustawy o wywłaszczeniu i przemocą ją wydrzeć. Jednak nawet tak podły rząd pruski liczy się ze skutkami takiej ustawy i zwleka.

Pruski minister rolnictwa Schorlemer, oświadczył publicznie, że rząd pruski nie pozwoli nikomu na siebie wywierać nacisku i że wtenczas ustawę zastosuje, kiedy to uzna za konieczne. Dalej mówił minister, że każdy przyznać musi, iż stosunki w Poznańskiem pod względem parcelacyjnym i gospodarczym zmieniły się na korzyść Niemców, wskutek działalności komisyi kolonizacyjnej. Sądu tego — mówił dalej minister — zmienić nie mogą tak niemiłe zjawiska, jak to, że Polacy od 1895 – 1910 roku zdołali zakupić 92.000 hektarów ziemi (t. j. około 170.000 morgów) więcej, niż Niemcy. A coby się było stało z Niemcami — pyta dalej minister — gdyby komisyi kolonizacyjnej nie było wcale? I dlatego rząd nie może się wyrzec dalszego prowadzenia polityki kolonizacyjnej. Co do stosowania ustawy o wywłaszczeniu, to tylko wówczas chwyci się tego środka, gdy znikąd ziemi potrzebnej komisya kolonizacyjna zdobyć nie będzie mogła.

Własność rolna polska w zaborze pruskim tak się nie przedstawia dotąd zbyt świetnie i nie mamy jej ani piędzi do oddania Niemcom, lecz raczej wszelkiemi siłami powinniśmy się starać, aby z rąk niemieckich jej jak najwięcej wykupić. I tak, dzięki temu, że Prusacy zagarnęli po rozbiorze Polski ogromne dobra królewskie i inne, mają obecnie w Księstwie Poznańskiem 1,618.680 hektarów (jeden hektar = $1^3/_4$ morga), w Prusach Zachodnich 1,839.441 ha, a polska zaś własność w Księstwie jest o 500.000 ha mniejsza, a w Prusach Zachodnich wynosi tylko 583.470 ha. Zważyć jeszcze należy, że ziemia niemiecka, na którą zaciągnięto pożyczki z banków hakatystycznych, ma na hipotece zapisany warunek, że Polakowi tej ziemi sprzedać nie wolno.

Dyskusya o wywłaszczeniu Polaków przeszła obecnie do sejmu pruskiego. Posłowie hakatyści napadają ustawicznie na rząd, że dotąd nie dopuścił do wywłaszczenia, a ministrowie się z nimi udzierać nie chcą. Wołają na alarm: Co to będzie jeżeli Polacy dalej będą róść w taką siłę. Mają już swe banki, setki stowarzyszeń współdzielczych, kochają się wzajemnie i wspierają na każdym kroku, z Niemcami nic nie chcą mieć wspólnego i tworzą jakby polskie państwo w państwie pruskiem. Jeżeli się do nich nie weźmie ostro, to się ośmielą i będą jeszcze więcej groźni i niebezpieczni. Polscy posłowie bronią dzielnie przed wywłaszczeniem. Mówią z naciskiem, że ta ustawa jest zbrodnią względem prawa własności, grzechem przeciw 7 przykazaniu, że jest wprost bezprawiem. Wobec Polaków nie chce rząd pruski nic wiedzieć o sprawiedliwości. Że stosunki na polskich ziemiach nie zaostrzyły się, to tylko dzięki temu, że Polacy mimo ucisku i prowokacyi, nie tracą zimnej krwi i wierzą w sprawiedliwość, która pomści wszelką krzywdę i przy tej wierze obstają. Widać coraz bardziej, jak są Prusacy usposobieni względem nas, że nas chcieliby w łyżce wody utopić.

Trudno nad butą i łotrostwem pruskim i nad naszą niedolą rozpaczać; kiedy np. dom się pali lub inne nieszczęście nawiedzi, załamywać ręce mogą tylko stare, niedołężne baby, ale wszystko zdrowe powinno wziąć się do ratunku.

W odpowiedzi na te wszelkie wrogie zakusy pruskie i nienawiść powinniśmy się skupić jeszcze bardziej, oświecać i kochać ziemię i całą Polskę biedną, udręczoną. Wprawdzie Polacy w Poznańskiem są napewno dzielniejsi, niż galicyjscy lub w Królestwie Polskiem, ale wielką dla nich i dla całej Polski podporą będzie, gdy w Galicyi chłop polski się podniesie, gdy będzie coraz mędrszy, coraz rzutniejszy, coraz oszczędniejszy i pracowitszy, gdy będzie kochał swą ziemię i nie wypuści jej w ręce wrogie, żydowskie czy niemieckie. Pamiętajmy zawsze o tym mądrym pewniku, że szczęśliwa przyszłość Polski i nasza tylko od nas samych zależy.

Kwiat wiśni.

Cichy i wonny majowy wieczór zapadał na okolicę, a ostatnie promienie zachodzącego słońca złociły i różowiły kopuły wież i dachy wyższych gmachów miasta Rzeszowa. W krzewach nad Wisłokiem wywodziły słowiki swe miłosne trele, przerywane tylko cichym szmerem kryształowych nurtów i pluskiem ryb, wyskakujących z wody.

Na oddalonem przedmieściu, gdzie gwarne i ożywione tętno środowiska wielkomiejskiego słabo tylko wyczuwać się daje, obok błotnistej i brudnej uliczki stała nędzna chata. Dach jej słomiany, dziurawy, zczerniały od starości, okrywały gdzieniegdzie postrzępione wichrami snopki słomy. Ściany brudne, odarte z wapna, pochylały się w różne strony i obejmowały pokrzywione drzwi i okienka, w miejsce szyb, pozatykane różnokolorowymi papierami. Przed chatą sterczał ganek na pochylonych słupach, przytykający do zaśmieconego podwórka. Jedyną ozdobą chaty była stojąca obok ganku duża wiśnia, okryta właśnie pióropuszem prześlicznego, białego kwiecia.



Nagle z wnętrza chaty ozwał się suchy kaszel, a po chwili chwiejnym krokiem wyszedł na ganek kilkunastoletni młodzieniec. Wychudła i pochylona postawa, zapadła pierś, krótki, świszczący oddech, matowo-żółta cera oblicza, ciemne wypieki na policzkach i gorączkowy blask oczu przedstawiły nam skazańca na śmierć przez nieubłagane suchoty. Młodzieniec rozmiłowanem wejrzeniem ogarnął kwitnącą wiśnię, a po chwili drżącemi z osłabienia rękoma uszczknął sporą gałązkę z kwieciem, a tuląc ją do bladych ust, mówił przerywanym głosem:

— »O ty rozkoszne, wonne i wspaniałe kwiecie!... ja w tobie podziwiam i piękność wiosny i dobroć Stwórcy!«

W tej chwili zakaszlał, przytknął do ust chusteczkę, która zabarwiła się czerwono.

Z wnętrza chaty odezwał się przytłumiony i drżący głos:

— Władziu! chodź dziecko do izby, bo chłód wieczorny zaszkodzi ci bardzo!

W ślad za tem pochylona i wątła postać kobiety ukazała się w drzwiach sieni. Mleczny włos na głowie, bezzębne usta i poorana zmarszczkami twarz, znaczyły późny wiek staruszki i długoletnie ciężkie bojowanie ze zmorą żywota, a wyczerpująca praca już od młodości naprężyła mięśnie, które jakby powrózki widniały z pod skóry u rąk i pokrzywiła palce biednej zarobnicy. Młodzieniec, ujrzawszy ukochaną matkę, wsparł wychudłą głowę na jej ramieniu, a głaszcząc pomarszczoną jej twarz, mówił pieszczotliwie:

— Nie bój się mateczko! — tak piękny wieczór majowy mnie nie zaszkodzi, bo mnie wogóle nic już nie zaszkodzi!... Przypatrz się się, mateczko, jak gęsto śnieżnem kwieciem okryła się nasza wiśnia; lecz za parę dni to wspaniałe kwiecie opadnie i białym całunem okryje ziemię!... ach! mateczko, tak też za kilka dni zgaśnie dopieroco zapalona lampka mojego istnienia, lecz....

— Władziu! zamilcz, bo słowa twoje serce mi w kawały rozszarpują! — krzyknęła matka rozpaczliwym, nadludzkim głosem i objęła konwulsyjnym uściskiem spracowanych rąk głowę syna, jakby go przed jakimiś niewidzialnymi wrogami obronić chciała. Potem, łkając spazmatycznie, ujęła syna za rękę i wprowadziła do wnętrza chaty.

Ach, jak oni byli szczęśliwi do niedawna! Ona, wdowa po pracowitym, lecz słabowitym murarzu, ciężką pracą swych rąk zarabiała na utrzymanie dla siebie i dla ukochanego jedynaka Władzia. Ach, jakże oni dotychczas byli szczęśliwi! On, wzorowy uczeń ostatniego roku seminaryum nauczycielskiego w Rzeszowie, miał za kilka miesięcy otrzymać skromne, ale spokojne stanowisko nauczyciela ludowego. — Nieraz wieczorem wśród mroków nędznej izdebki, siedząc obok siebie we dwoje, snuli złotą nić marzeń o przyszłem szczęściu, budowali świetlany gmach jasnej i szczęśliwej przyszłości. On miał niezadługo swojej ukochanej i spracowanej mateczce dać cichy i spokojny kącik i skromne utrzymanie, a ona miała drogiemu jedynakowi prowadzić miniaturowe, kawalerskie gospodarstwo. Niestety! Wypieszczony i wypielęgnowany kwiat ich wspólnej, szczęśliwej przyszłości podgryzł śmiertelnie robak, a świetlany pałac ich złotych marzeń prysnął w gruzy pod uderzeniem pioruna. Choroba odziedziczona po rodzicu, wyczerpująca praca szkolna, nędzne pożywienie i silne przeziębienie w zimie w lichem odzieniu, zdruzgotały wątły organizm młodzieńca, a nieubłagana śmierć już przykładała kosę do jego młodocianego żywota. Ach, ty biedna staruszko, już teraz ukochana ręka jedynaka nie zamknie ci powiek do wiecznego snu, a skołatane życie zakończysz w nędzy, poniewierce i opuszczeniu.

. . . .

W kilka dni później w cichym zakątku pod murem, na rzeszowskim cmentarzu, bieliła się świeża mogiłka, na której za ostatni grosz postawiła kochająca matka skromny pomniczek z napisem:

»Dopierom zakwitł, już mnie zerwano;
Pan tak rozkazał; Pana słuchano«.

U stóp pomnika zatknięto w ziemi kwitnącą gałązkę wiśni, obecnie już zwiędłą i przyschniętą; na drugim końcu mogiłki klęczała biedna starowina z Siostrą Miłosierdzia, a konwulsyjny płacz wstrząsał szczupłą jej postacią.

Teofil Tryczyński.



MACIEK BZDURA GADA:

Jużem miał tej obmierzłej polityce dać pokój, zwłasca ze mi się kroi ozeniacka i dzieucha taka obserna, jak gęba u Paducha, ale ani rus się od tej zmory odegnać. Jagem ino zacął wąsy dziegciem smarować i nogi z paskudności oskrabywać, aby się dzieuse całkiem aligancko sprezentować, kiedy przychodzi ten liściowy z pocty i pyta się:

— Cy tu siedzi pon Maciej Bzdura?

— A kazby — padom — ino tyla, co nie siedzi, ale stoi całkiem równiuśko.

— No, bo tu jest jakiesik pisanie do Macieja — pada liściowy i pcha mi do garści jakiesi papiery. Wziąłem to od niego, bo kuzden człek brać lubi i schowałem do zanadrza. Ale tak mnie tam w zanadrzu te papiery gryzły, zem nie wytrzymał, ale, zamiast do dzieuchy, pognałem do gospodarza, aby mi to, co tam stojało, prześlabizowali.

Gospodarz poślinili palice, ozerwali okładzinkę i ze środka wyciągnęli dwa wielgie papiery całkiem z jednej strony zadrukowane i z jakiemisi obrazkami u góry. Patrzę ja na te bohomazy i ciekawość mnie spira, co to je takiego: człowiek, nie człowiek; cygon, nie cygon?...

— E, to jakasik maupa — padam już głośno do gospodarza.

— Głupiś — padają gospodarz — to nie zadna małpa, ino ten Paduch, co nam to chłopom takiego wstydu narobił.

— Et, gadacie — ja na to i chciałem się z gospodarzem handrycyć, ale, gdym się zastanowił lepi, tom zaraz spenetrował, ze moze być, co gospodarz mają słuśnie i dałem pokój.

— Acha — gadam wtedy — to te papiry, to musą być jakiesi koncesyje na karcmy.

— Ej gdzie tam — na to gospodarz — to nie zadne koncesyje, ale odezwy do wyborców od Paducha, aby go wybierali znowu na posła.

Ani rus nie chciało mi się wierzyć, aby Paduch wszyćkich chłopów z kolbusowskiego miał za takich głupców i zeby myślał, ze choć jeden głos przy wyborach dostanie, ale ze to gospodarz nawet przed swoją babą kłamać nie lubią, więc jem uwierzyłem i kazałem cytać, co tam napisane.

Gospodarz zacęli cytać, a ja jazem się kład po majowem powietrzu ze śmiechu z tych wszyćkich figlów, co tam Paduch naopowiadał. Prosiłem gazeciarzy, aby to ku rozweseleniu całego świata w »Roli« wydurkowali, ale gazyciarze odpedzieli, ze skoda miejsca na takie bajdurzenia. Ale ja i tak co najśmiśniejsze, to wam tu powtórzę.

A więc Paduch w ty swoi odezwie prawi tak, ze on »popiera wiarę świętą chrześcijańską«, bo chce karcmy zydom oddać za dobre pieniądze, ale przeciwnicy jego »jakie grzechy wiedzieli na Paducha, to wygadali«, a przez to on, bidak, nie wiele ino zarobił. Ale — pada Paduch dalej — »kto wytrwa do końca, to zbawion będzie«, więc i on, jak go chłopy wybierą, to jesce moze co zarobi, bo duzo jesce głupiego luda na świecie. A ze to w tych rzecach »Paduch doświadczony chłop«, to się drugi raz nie da złapać nawet wronie, nietylko Kanarkowi.

Tak się chwali to Padusysko, ale to jesce nic. On to nie jest takie byle co, jak się to wszyćkiem zdaje. On, to kto wie, cy nie większy, jak Kopernik. Jegomość padali, ze Kopernik pirsy pedzioł, co ziemia lata, a słonko stoi; a Paduch pada, ze »on pierwszy uderzył pięścią w stół parlamentowy, aż wszystko zadygotało«. Ino nie wiem cy ten stół był w karcmie, cy w parlamencie, bo jak w karcmie, to wszyćko dobrze, gdyz wiadoma rzec, że pijak, jak się upije, to wali w stół, ale jak w parlamencie, to paskudztwo, bo parlament do mądrego radzenia, a nie do bijatyki. Ale to musiało być pewnikiem w karcmie, bo skądzeby Paduch do stołu parlamentarnego się dostał, kiedy sam pada, ze chłop, »to dwa lata musi szukać klamek parlamentarnych«. A zreśtą z Paducha, to taka miękka i potulna dusa, ze onby nawet nie śmiał coś tam podobnego robić. On bidak już nawet układa litanię sam do siebie i nazywa się »pocieszycielem strapionych, wspomożycielem i ratunkiem ubogich, pociechą dla chorych, dla sierót prawdziwym ojcem, dla podróżnych domem własnym«.

Juz mnie zacynały brać wszyćkie wciórności na takie kpienie Paducha z rozumu chłopskiego i, gdybym go był miał pod ręką, byłbym go przejechał zarnowicą. Chciałem pójść, aby nie słuchać takich bajdurstw, ale gospodarz mnie zatrzymali i padają:

— Cekaj Maciek: Kiedy ci dotychcas usy nie spuchły, to ci i do końca nie spuchną, ale owsem pociesys się krzynę, bo na ostatku Paduch powiada, ze on nie chce być posłem, ino »parobkiem chłopskim«.

— Tak to co innego — padam ja na to — na parobka, to on w sam raz, ale nie na posła, który i rozum mieć musi i uściwość ogromną.

Na samem końcu tej odezwy podpisał Paduch śtyrnaście nazwisk chłopskich, pewnikiem zmyślonych, boby zaden porządny człowiek na taki odezwie nie pozwolił kalać swojego nazwiska.

Na drugiem papirze znowu się Paduch kazał wymalować i znowu prawie to samo powtarza, co napisał na pirsem, ale pewnie sam spostrzyg, ze źle robi, co kandyduje, bo swoją odezwę tak kończy:

....»Wyłuszczyłem krótko w tej odezwie... jak szkodliwym byłby skutek z tego, gdyby przy wyborach zwyciężyli oszuści, albo ludzie niezdolni, coby nie wiedzieli, co ze sobą w parlamencie zrobić«, ale walili w stoły, jak jakie pijaki w karcmie.

Kiedy nawet taki Paduch przychodzi do rozumu i przekonania, ze ino ludzie bardzo mądrzy i ućciwi powinni być posłami, to i ja kandydował nie będę, bo chociem uczciwy, ale mądrzejszych przecie moze znajdzie na świecie odemnie.

A zreśtą, abo to poselstwa człek se poi, abo co. Jakby mnie tak wybrali, to trzebaby zaraz haderę nową kupować i cielsko trochę oharuzyć, bo inacy ani rus we świecie się pokazać. A najgorzy byłoby z Kaśką: dzieucha się mi uwidziała i mam się okrutecnie ku niej, a tu takiego byle co do Widnia braćby mi nie wypadało, zwłasca ze we Widniu Widenek moc,' które juz od małego dziecka po niemiecku świargotać umieją lepi jak pon fir przy wojsku. Z tego wszyćkiego rozmyśliłem se i moją kandydaturę składam a bierę się do ozeniacki na ostro, bo mi cas i lata na to przychodzą.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz ledwie wstał pan Łukasz wnet przywołał zausznika. Zauważył Ożga odrazu, że pryncypał wiele na humorze stracił. Kwaśny był, nachmurzony, nie swój, z pod oka patrzył, niepewnie, snać coś do powiedzenia miał niemiłego. Ożga nie zaczepiał go, również będąc zakłopotany, jak o tem świadczyła twarz odęta i czoło frasobliwie zmarszczone.

Po chwili milczenia starosta pierwszy się ozwał.

— Czegożeś osowiał, niezdaro? Stoisz jak pień.

Westchnął faworyt.

— Padyga strachu ci napędził? Co? Odgrażałeś się niedawno na niego, a skoro zjawił się ni stąd ni z owad, ogłupiałeś z trwogi. Także mi rycerz tęgi. Daj go katu.

— JW. Pan zanadto lekceważy, zda mi się, tę sprawę — rzekł Ożga — a ja o niej inaczej myślę.

— Boś głupi, boś pień, boś tchórz — roześmiał się starosta.

Prychnął starosta wargami i żart chciał powiedzieć, ale mu jakoś w gardle uwięzły słowa, mruknął tylko.

— Bajdy prawisz!

— Nie, JW. Panie. Padyga ma za sobą wszelkie prawo i pomyślne głosy. Wiem o tem.

— On? głosy ma?

— Ma. Bąkają po kątach ludzie nawet tu, u nas, na zamku.

— Co? Kto? Kiedy?

— Wszyscy prawie. Trza się obwarować misternie, a jeżeli zdanie moje co waży, powiedziałbym, kapitulować!

Zerwał się pan Łukasz, jak gdyby żądłem osy zacięty, splunął.

— Co ty mi z takiemi radami wyjeżdżać będziesz? Hę? — krzyknął. — Ja kapitulować mam? Łbaś postradał! Oszalał! Zwaryował!

— Ino powiadam, jak należy....

— Nie należy! Nie należy! Kat go bierz, niech robi, co chce, a mnie do pardonu nie zmusi. Ja... ja... praw swoich bronić będę, chociażby mi przyszło krwią opłacić.

— Wola JW. Pana — nachylając głowy, szepnął Ożga.

Na tem stanęła rozprawa.

W kilka godzin na zamku zjawił się posłaniec z listem Padygi, który tym razem stanowczo żądał: iżby starosta do dnia następnego z zamku się usunął i bezprawnie pochwycony spadek spadkobierczyni zdał, w przeciwnym razie nieodwołalnie zmusić go obiecywał Padyga do publicznej kompromitacyi przez wyrugowanie z zamku, oraz zmusić do wytłómaczenia się ze szpetnego postępku, wobec statutów prawnych. Starosta odpowiedział drwinami, kazał posłańcowi odnieść z powrotem, że Padygę obwiesić każe, jeżeli podłych knowań nie zaprzestanie, do których on, starosta, winy nie poczuwa się.



Wkrótce na dziedzińcach wszczęła się pijatyka.

Odpowiedź ta przeraziła Ożgę, perswadował, prosił pana Łukasza, iżby rozważył, na co się naraża (łotr przewidywał, że sprawa wcale dla niego niekorzystnie obrócić się może), do układów namawiał, ten przecież uparcie przy swojem stał, ani myśląc w żadne układy wchodzić.

— Chyba cię Padyga przekupił, kiedy tak gadasz — wołał. — Ja mu nie ustąpię. Zobaczymy, kto z nas wygra.

Niezwykłą energię okazywał ostatecznością naciśnięty pan Łukasz, czego sobie Ożga, znając go dobrze, nie potrafił wytłómaczyć.

Po odprawieniu posłańca, kazał starosta bramy do zameczku pozamykać, mury opatrzyć, armatki na nie pozataczać, załodze stać pod bronią, zgoła jakby spodziewając się napadu ze strony Padygi.

Rozruch się wszczął na zamku, gwar, ludzie pełniąc rozkazy starosty, biegali tu i ówdzie, on sam przechadzał się po murach i dziedzińcach, pilnując, by fałszu jakiego się nie dopuszczono.

Ożga rad nie rad milczał, chociaż bąkał pod nosem, że mu się to wszystko nie podoba, i że lepiej byłoby pokorą a nie uporem z Padygą wojować.

Kozanecka, w dobrej komitywie z Ożgą będąca i za jego namową próbowała również wszelakich perswazyi, aby starostę do układów z Padygą nakłonić i to wszakże nic nie pomogło.

— Niewiasta jesteś bez kapki oleju w głowie — burknął na nią. — Twoje prawo milczeć, słuchać co każę a nosa do nieswoich rzeczy nie wściubiać.

Dwa dni przeszło od czasu zjawienia się posłańca ze stanowczem żądaniem pana Ignacego, załoga na zameczku czuwała dniem i nocą, pod bronią wszystko, wedle ordynansu starosty, na wieże straże chodziły nieustannie. Sam starosta przy szabli doglądał wszystkiego, nawet o hulatykach przepomniawszy, nie spał prawie, w nocy na mury wychodził z Ożgą, który go na krok nie odstępował.

Trzeciego dnia rankiem rozchmurzył oblicze pan Łukasz.

— Ano, Padygi coś nie widać — począł do Ożgi.

— Chwała Bogu! — rzekł faworyt.

— Widzisz ty niedołęgo jeden, było się czego lękać? Hę? Nie mówiłem: że strachy na lachy? — Chciał łotr wyciągnąć garść dukatów z mego trzosa, więcej nic...

Z dobrą fantazyą spożył śniadanie, pozwoliwszy sobie sporą dozę wina.

Po śniadaniu, przypasawszy szablę, laską grubą się wspierając, na wały wszedł.

Okolica była spokojna, naokoło zameczku ani żywa dusza się nie pojawiała.

Już wracać miał do komnat, gdy Ożga za rękaw go szarpnął.

— Czegoż chcesz? — spytał starosta.

— JW. panie, bodaj czy goście nie do nas —

odparł Ożga, wskazując na gromadę liczną z poza lasu Zaczajewskiego się wysuwającą.

Starosta przystanął, spojrzał i zaklął.

Gromada wprost ku zameczkowi zmierzała, a liczyła mniej więcej do sta koni. Zbliżała się powoli, miarowo, z jakąś powagą lodowatą.

Na czele jechał Padyga.

Poznał go odrazu jak starosta tak i Ożga, pierwszy niemile spostrzegłszy zjawisko, w osłupienie wpadł, stracił niejako przytomność, stał czas pewien nieruchomy, aż mu drugi szepnął półgłosem.

— Dotrzymał słowa jegomość Padyga.

— Dotrzymał, dotrzymał — mruczał pod nosem starosta. — Bodaj się w ziemię zapadł, łotr jeden...

— Lepiejby pono się stało, gdybyś JW. Pan był rady mojej usłuchał — mówił Ożga. — Teraz... kto wie, co się stać może...

— A co? co? — krzyknął pan Łukasz. — Tyś wierutny tchórz, więcej nic. Ledwieś go obaczył, już ci dusza na ramieniu siedzi. Padyga... hm... co mi zrobi? Z zamku nie wypędzi, bronić się będę do ostatka, do krwi... chociażbym sam ofiarą paść miał.

— Wszelako... głosuję i teraz nawet za kapitulacyą...

— Dyabłabyś zjadł z podobnem gadaniem. Cicho oto bądź, skoro barani łeb masz. Ja się bronić będę! będę!

Z wałów zszedł i ludzi zwołać kazał.

Ożga niechętnie rozkaz wypełnił.

Do zgromadzonych ludzi przemówił starosta groźnie, zalecał iżby nie ważono się nikogo do zamku puszczać, a w razie, gdyby się kto chciał przemocą wdzierać, strzelać!

— Zrozumieliście? — kończył. — Bronić się muszę, bo owo łotrowie na mnie dybią i krzwdzić chcą. Ja tu wasz pan, mnie słuchajcie. Ktoby zaś zdradę miał na myśli, szubienica! O tem pamiętać.

Wysłuchano go w milczeniu, nikt się nie odzywał. Wszyscy głowy mieli spuszczone, twarze coś niedobrego wróżyły... Snać pan Łukasz serca nie miał u nich.

Wzdychał Ożga, głową trząsł, słuchał nasępiony, przecież milczał, jeno na zbliżających się do zamku spoglądał. Rozkazy wydawszy, powrócił pan Łukasz do siebie. Krzepił się, odwagę i pewność siebie okazywać starał, w gruncie zaś rzeczy upadał na duchu... Przekonanie wewnętrzne szeptało mu, iż z Padygą walcząc, poddać się musi, wszakże ile mógł, głuszył on głos, jurzył się, a żartować próbował.

— Łeb świerzbi Padygę — dogadywał — koniecznie chce go się pozbyć. Ano, niech spróbuje się ze mną. Obaczy łotr, co wskóra. Obaczy! Czelny jest, zuchwały... Nic z tego. Wisieć będzie, jak amen w pacierzu, z pewnością.

— JW. Panie... ludzie coś fantazyi dla nas nie mają — wtrącił Ożga. — Po minach znać, że...

— Że co? — przemówił starosta. — Może niecnoty tego o przebaczenie prosić mam i z zamku ustąpić? Ha! ha! ha!

Na śmiech się silił.

— A ludziom miodu wytoczyć, gorzałki... niech piją... — dodał po chwili. — Znajdzie się i fantazya potem... Idź i każ z piwnicy, co trzeba, wydać. Słyszysz?...

Wkrótce na dziedzińcach zamkowych wszczęła się pijatyka, obficie dostarczony napój lał się strumieniem. Pan Łukasz sam wyszedł do ludzi swoich, przepijał do nich, zachęcał do spełniania kolejek, odgrażając się Padydze.

Pili starościńscy, ale fantazyi znaleźć nie mogli. Kłaniali się panu, mruczeli niby wtórując jego odgróżkom na Padygę, przecież znać było po nich niechęć i jakowąś trwogę.

Kilku zaledwie i to z tałałajstwa ostatniego, brawowało starostę i krzyczało głośniej.

Pan Łukasz na niechęć powszechną patrzył, zdając się jej nie widzieć.

Tymczasem Padyga ze swoimi pod zamkiem stanął i domagać się począł, aby bramę rozwarto. Dano znać o tem staroście.

— Powiedz temu łotrowi — huknął zapytany — aby jechał precz, jeżeli mu życie miłe. Zaczepiać go nie chcę, człowiek jestem spokojny i uczciwy, ale skoro on zacznie, ja nie ustąpię.

Zaniósł Ożga odpowiedź Padydze. Ten, jak również wszyscy towarzysze jego, przyjęli ją z oburzeniem. Nie spodziewano się podobnej bezczelności po panu Łukaszu.

— Powiedz waćpan staroście — zakonkludował drżący z gniewu Włobodowski — jako wierutny i ostateczny jest infamis, powiedz mu oraz, że rozprawimy się z nim tak, jak na to zasłużył.

— Co tam z człowiekiem takim w gawędy się wdawać — przerwał Tyszka. — Niech otworzą bramy, albo szturmować będziemy.

— Otworzyć bramę, otworzyć! — huknęła szlachta jak jeden.

Stał Ożga zmieszany, nie wiedząc, co odpowiadać ma, coś zaczął bąkać, ale składu ni ładu w gadaninie tej nie było. Zresztą przerwano mu wnet.

— Trutniu, rób co powiadamy, albo na gałęź.

— Bramę otwierać! starosta precz niech idzie! — wrzaśnięto.

— Na gałęź łotrów!

— Rozsiekać!

Tumult się wszczął nie do opisania. Zniecierpliwiona szlachta coraz to groźniej wykrzykiwała, wstrząsając dobytemi szablami. Jeden Padyga mitygował oburzonych, powiadając, że nie w ten sposób poczynać należy.

Ożga zniknął, spiesząc do starosty, aby oznajmić, co się dzieje.

Zaś pan Łukasz w komnacie siedział, pijąc zapamiętale. Był wściekły, klął, pięściami o stół bił, mruczał, odgrażał się.

Sumienie go srodze gryzło.

— No i cóż? — zapytał wchodzącego Ożgę.

— Źle! Bardzo źle! — odparł wzdychając faworyt. — Domagają się zamku, JW. Pana łotrem obwołują.

— Ja im pokażę! Ja im pokażę! — porwał się starosta. — Hej, strzelać do tych psów!

— Ależ, JW. Panie...

— Milcz kpie! robić co każę! Ja tu pan! Ja!

Pobiegł Ożga i długi czas widać go nie było. Starosta tymczasem pił, wciąż burząc się coraz więcej.

A krzyki i wrzawa wzmagały się, wlatywały przez otwarte okna, odbijając o ściany komnaty. — Naraz rozległ się jednozgodny radosny okrzyk, następnie szczęk szabel i tentent kopyt zaczął zbliżać się wprost do zamku.

Nie wiedział pan Łukasz, co to ma znaczyć.

Miał iść obaczyć, co się dzieje, gdy wpadł Ożga drżący, z twarzą wybladłą, wystraszoną.

— JW. Panie! JW. Panie!

— Co? Co?

— Weszli... Otworzono im... zdrada... ludzie po ich stronie.

Padł na krzesło zausznik, bo sił mu brakło.

Krzyki, stąpania, brzęk szabel, zbliżały się coraz bardziej, ozwały się tuż za drzwiami, wreszcie drzwi się rozwarły.

(Dokończenie nastąpi).

Z TYGODNIA.

Powodzie w Czechach na Śląsku i na Morawach. Donoszą z różnych miejscowości Czech o wielkich szkodach, wyrządzonych przez wylewy. W pewnych wsiach woda stała na o metr wysoko i mieszkańcy chronili się na dachy. Z wielu miejscowości Sląska donoszą o wylewach. W Weisswagger wskutek oberwania chmury zostały zalane wszystkie pola. Woda wdarła się też do pensyonatu żeńskiego, gdzie stoi na 30 cm. wysoko. Szkody są bardzo znaczne. Na znacznej przestrzeni Moraw rzeki wystąpiły z brzegów, wyrządzając wielkie szkody, zwłaszcza w Kunowicach (powiat Węgierskie-Hradyszcze) i w okręgu Węgierskiego Brodu. Szereg miejscowości stoi pod wodą, mosty pozrywane, drogi zniszczone.

Już za pasem czerwiec, który sprowadza często powodzie tak zwane »świętojańskie«, a w naszym kraju tyle jeszcze rzek nieuregulowanych, takie niebezpieczeństwo zagraża wsiom niżej położonym! Aby nas Bóg uchował w tym roku od tej klęski, która przed paru laty takie straszne szkody rolnikom naszym wyrządziła!

Palenie zwłok w Prusiech. Sejm pruski w Berlinie przyjął po dłuższej dyskusyi ustawę o paleniu zwłok 176 głosami przeciw 158. Przeciw paleniu oświadczyli się posłowie konserwatywni, bardzo poważny katolicki klub centrum i Koło polskie przez usta posła ks, Styczyńskiego, który zwalczał projekt jako sprzeciwiający się uczuciu religijnemu ludności polskiej, szczerze do Kościoła przywiązanej, a także z wielu innych ważnych względów moralnych.

Francuski minister wojny zabity przez latawca! W niedzielę o godz. wpół do 6 rano na polu wzlotów pod Paryżem miał się odbyć konkursowy lot o wielką nagrodę pieniężną maszyn latających z Paryża do stolicy Hiszpanii, Madrytu. Zainteresowanie tym niezwykłym wyścigiem było bardzo wielkie, to też mimo wczesnej godziny na polu wzlotowem zgromadziły się tłumy ludności, przybyli też najwyżsi dostojnicy państwa. Gdy jeden z lotników wzniósł się w powietrze, naraz na niedużej wysokości, z powodu silnego wiatru latawiec zwrócił się ku ziemi i upadł nieszczęśliwie w miejsce, gdzie znajdowali się ministrowie i inni dostojnicy, Skutki upadku maszyny były straszne: minister wojny Berteaux (Berto) został zabity, zaś prezydent ministrów Monis doznał złamania nogi w dwóch miejscach i wewnętrznych obrażeń. Oprócz tego kilkanaście innych osób zostało ciężko i lekko rannych Trudno sobie wyobrazić zamieszanie i grozę jaka wstrząsnęła zebranym tłumem, gdy się dowiedziano, co się stało. W całym Paryżu zapanowała żałoba po tym wstrząsającym wypadku. Odwołano na znak żałoby przedstawienia w teatrach, zabawy i różne zebrania. Gazety całego świata, dowiedziawszy się z pomocą telegrafu o wypadku, zapełniły się szerokimi opisami katastrofy. Wielu monarchów, między innymi cesarz Franciszek Józef, przesłało prezydentowi Francyi telegramy z wyrazami serdecznego współczucia.

Spisek wojskowy. Już nieraz pisaliśmy, że w Rosyi nibyto car nadał ludności konstytucyę i prawa a w rzeczywistości sam wraz z rządem samowładnie rządzi, to też ludność z tego niezadowolona, bo rządy są złe i srogie. Powstają też różne spiski. — Przed kilku dniami odkryto w twierdzy, tuż przy stolicy cara, Petersburgu, spisek wśród wojska. Uwięziono dotąd 18 marynarzy i żołnierzy, należących do stronnictwa socyalno-rewolucyjnego.

Spisek wojskowy jest najniebezpieczniejszy, bo jak wojsko odmówi posłuszeństwa, to wtenczas niema takiego, któryby je zmusił do posłuszeństwa.

KRONIKA.

W numerze następnym kończymy drukować powieść „Czarny Rok" i zamiast dwóch powieści w następnych paru numerach dawać będziemy więcej powieści „U stóp Zbawiciela", aby i ją także ukończyć w bieżącem półroczu.

W ten sposób z pierwszym numerem lipca rozpocząć będziemy mogli druk aż dwóch nowych powieści naraz, a mianowicie:

Rozbójnicze gniazdo.

Zaciekawiająca na każdej stronie opowieść historyczna z czasów króla Jana III Sobieskiego o niezwykłych przygodach dwóch zacnych kobiet szlacheckich i wiernego im młodego rycerza, którzy dostali się w niebezpieczne okolice, na kresach Polski, w Karpatach.

Rubin wezyrski.

Powieść zasłużonego, sędziwego pisarza polskiego, mająca za treść kradzież klejnotu rodzinnego w dworze polskim. Rzecz dzieje się przed powstaniem w 1830 - 1831 roku. Do każdego numeru damy piękny obrazek do tej powieści, umyślnie dla „Roli" rysowany.

(K. T.) **Rzadka uroczystość parafialna.** W Wietrzychowicach, powiatu dąbrowskiego, dnia 16 maja b. r. odbył się 25-cioletni jubileusz probostwa przew. Ks. Jana Nepomucena Pilcha. Poprzedzającego dnia wieczorem robiono przygotowania przed Ks. Jubilatem, a więc zrobiono bramy, ubrano ulicę i plebanię zielenią. Z plebańii i kościoła powiewały flagi o barwach papieskich i narodowych. W dniu zaś uroczystości od świtu słychać było salwy moździerzowe. O godzinie 10 wyruszył pochód z chorągwiami i muzyką wojskową z Tarnowa na czele, którą sprowadził parafianin tutejszy, p. F. Nagórzański, profesor gimnazyum we Lwowie. O godz. wpół do 11 ruszył pochód z plebanii z pieśnią na ustach »Serdeczna Matko« wśród szpaleru straży pożarnych z Miechowic i Jadownik m., oraz delegacyi gmin i licznych bractw. Ks. Jubilata prowadziło liczne duchowieństwo. Po przyprowadzeniu przed bramę kościoła wygłosił mowę p. St. Nowak, sędzia z Brzeska, stosowną do uroczystości, wręczając Ks. Jubilatowi kielich, jako dar od parafian. Nadmienić wypada, iż tenże kielich sprawiła parafia z wolnych datków przy pomocy Ks. Katechety. Sumę odprawił Ks. Jubilat w asystencyi księży J. Bardla z Gręboszowa, oraz Ks. Katechety z Radłowa. Podczas sumy wygłosił kazanie Ks. Witek ze zgromadzenia księży Filipinów z Tarnowa.

Po sumie i procesyi odprowadzono Jubilata w tym samym porządku na plebanię. Na plebanii powiedział mowę Ks. Jubilat, dziękując parafianom za życzliwość. Wreszcie powiedział mowę p. M. Krzcuk, gospodarz z Sikorzyc od delegacyi i gmin. Uroczystość zakończono solenną ucztą, która trwała do późnego wieczoru.

Teraz wypada skreślić pokrótce żywot przew. Ks. Kanonika. Przew. Ks. kan. J. Pilch urodził się w Bielczy, powiatu brzeskiego, parafii borzęckiej w roku 1855, wyświęcony na kapłana 1878 r., był na trzech parafiach, jako wikary, w Radomsku, Kolbuszowej i Przecławiu, wszędzie szanowany i lubiany. W Wietrzychowicach, gdy przybył przed 25 laty, zastał rolę bardzo zachwaszczoną, lecz tem się nie zniechęcił, ale wziął się energicznie do pracy nad umoralnieniem ludu. Sprowadził Księży Misyonarzy w roku 1892 drugi raz w r. 1900. Jego staraniem w miejscu karczmy stanęła szkoła, on założył kasę Raiffeisena, którą sam prowadzi, pozakładał Kółka rolnicze oraz Straże pożarne. Podczas powodzi w r. 1903 zajmował się tak energicznie ratunkiem, że

w nagrodę dostał krzyż zasługi. Staraniem jego stanęła figura N. M. P. Król. Kor. Polskiej na pamiątkę 500-letniej rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem.

Taki krótki życiorys Jubilata. Cześć Jego pracy. Niech żyje setne lata!

Pożar szybów naftowych. Dnia 16 maja około godziny 1 popołudniu przeszła nad Borysławiem olbrzymia burza, połączona z piorunami i ulewą, która wyrządziła niesłychane szkody w okolicy. Około godziny 2 uderzył piorun w jeden z szybów naftowych, który zaczął gwałtownie płonąć, powodując następnie przeniesienie się ognia na sąsiednich sześć szybów, które spaliły się doszczętnie. Ulewa spowodowała nagłe wezbranie potoków, które uniosły na falach swych wiele urządzeń tak w Borysławiu, jak Tustanowicach. Woda zerwała wiele wież wiertniczych, a w Borysławiu zalała ulice na wysokość kilku decymetrów, skutkiem czego musiano wstrzymać na długi czas komunikacyę kołową.

Aresztowani uwięzili dozorcę! O zabawnym wypadku donoszą z Przemyśla. Dnia 4 maja w miejskich aresztach szupaśniczych policyant miejski rozdzielał chleb aresztantom, przyczem się zagapił i zostawił drzwi kaźni otwarte. Skorzystali z tej nieuwagi policyanta dwaj »więźniowie« i wymknęli się niepostrzeżenie na kurytarz. Aby zaś sobie ułatwić ucieczkę, a policyantowi utrudnić pościg, zamknęli drzwi do kurytarza za sobą na klucz, tak, iż policyant został zamknięty. Obaj sprytni aresztanci, ukarani za »włóczęgostwo«, dotąd swobodnie na wolności się włóczą.

Dziecko o dwóch głowach powiła we wsi Radziechowie niejaka Tekla Litwinowiczowa. Głowy osadzone są jedna za drugą; pierwsza jest zupełnie wykształcona, druga mniej. Dziecko jest płci żeńskiej. Stan jego jest zupełnie dobry. Lekarz zarządził odstawienie dziecka na klinikę do Lwowa.

(I. P.) **Pożary od piorunów.** We czwartek wieczór, t. j. dnia 18 b. m. uderzył piorun w stajnię Walentego Paśki w Wiercanach, w powiecie ropczyckim, w której żona tegoż doiła krowę i przy niej zabił dwie krowy, a tę, którą ona doiła zdołali wyprowadzić. Spaliła się stajnia z dwojgiem bydła i komorą, która była przyłączona do stajni i 56 koron, które były w komorze. Gospodarz tego domu został lekko poparzony. Na chałupie spalił się tylko dach a ściany zdołali uratować. Biedni ci ludzie zostali bez dachu nad głową.

(W. C.) Z Pnikuta piszą: Dnia 17 maja uderzył piorun o godzinie 11 w nocy w szopę, na folwarku, w Pnikucie średnim. Ponieważ ludzie spali, ogień w jednej chwili objął całe gumno, które spłonęło do szczętu, a to trzy szopy, w których się znajdowały wszystkie maszyny, wozy i naczynia gospodarskie. Wszystko to, zanim ludzie i straż pożarna przybyła, zgorzało ze szczętem i kto wie, czy nie spaliłaby się była cała wieś, bo wszystko było wysuszone kilkudniową posuchą, gdyby nie straż pożarna miejscowa, a za chwilę znowu przybyła straż pożarna z Krukienic i dzięki ich umiejętności udało im się ogień ugasić. Najbardziej zasłużyli się Ks. Proboszcz parafii tutejszej, który najpierwszy przybył do ognia, Michał Lichwa i Jan Turczyniak c. k. wachmistrz żandarmeryi z Krukienic, którym się należy podzięka za ich pracę, iż tak dzielnie się sprawili, że nie dopuścili ognia na nasze zagrody.

(K. T.) **Nieszczęśliwe strzelanie z moździerza.** Popołudniu w dniu 16 maja p. Mika z Pojawia, strzelając z moździerzy nie poczekał aż moździerz wychłudnie, tylko zasypywał proch tuż zaraz przy skrzynce z prochem, która była otwarta. Tymczasem proch wystrzelił z moździerza i skrzynki, raniąc tegoż dosyć ciężko. P. Mika jest to stary kanonier, który już od 35 lat strzela w Zaborowiu. Po zasmarowaniu twarzy, piersi i rąk białkiem z jaja i obandażowaniu odwieziono go do Dra W. Knawera, lekarza miejskiego w Radłowie.

(M. W.) **Burza gradowa** nawiedziła Chmielów i okolice dnia 18 maja o godzinie wpół do 4 popołudniu. Spadła nawałnica gradowa, która zniszczyła wszystkie plony, jakie były w polu. Drzewina obita z liści, sady obite, dachy pozrywane, wszystkie szyby wybite od strony zachodu, dachy potłuczone, które były kryte dachówką i te co papą i te co gontem, to wyglądają jak przetak. Gęsi pasące się na pastwisku pozabijane i wszystek drób, ptactwo i zające. Bydło i konie z poprzecinaną skórą pouciekało ku domom. Sieć telegraficzna poprzerywana a grad taki spadł, że ludzie starzy jeszcze nie widzieli takiego i nie pamiętają takiej klęski jaka ich spotkała. Grad spadł w kształcie takim, jak największe jaje kurze; średnicy miał 7 centymetrów. Cała katastrofa trwała 20 minut a przez ten czas olbrzymią stratę przyniosła dla wszystkich.

(S. W.) W Polnej w powiecie grybowskim oraz okolicy spadł w dniu 18 b. m. o godzinie 1 popołudniu grad wielkości dużego jaja kurzego. Zniszczenie trwało około kwadransa, uszkadzając dość dotkliwie zasiewy a szczególnie żyta. Z jaką siłą spadały zlodowaciałe okruchy świadczy to, że uderzenie wywoływało na ciele natychmiastowe opuchnięcie. Zające szczególnie młode zostały po większej części wybite. Druga to klęska w dość stosunkowo krótkim czasie. W 1909 r. zniszczył bowiem grad u nas plony prawie zupełnie.

(S. W.) **Niezwykła burza z piorunami.** Dzień 18 maja był strasznym dla mieszkańców Polnej, w powiecie Grybowskim. Jeszcze nie ochłonęli po klęsce gradowej, kiedy wieczorem rozpoczęła się szalona burza. Wśród ciemności na samym wstępie uderzył piorun ze strasznym łoskotem w dom gospodarza Józefa Janusia i zapalił go. W towarzystwie ogromnej ulewy i ryku piorunów oraz błyskawic przybyła na miejsce straż pożarna Kółka rolniczego i rozpoczęła akcyę ratunkową. Po nadludzkich prawie wysiłkach udało się ogień opanować, tak, że spłonął tylko jeden, niestety, nieubezpieczony dom. Sąsiednie zabudowania, pomimo że przytykały do niego, ocalały. Woda płynąca potokami po pochyłościach wyrządziła znaczne szkody. Burzy takiej nie pamiętają najstarsi ludzie. A wśród tej trwogi przerażone kobiety i dzieci zanosiły błagalne modły do Tego, który te rozszalałe żywioły w Swoich dzierży rękach. Nieszczęść było w okolicy kilkanaście.

Śmierć z przestrachu. Nagły przestrach powoduje czasem u ludzi choroby nerwowe, których pozbyć się nie mogą do końca życia; czasem znów zdarzy się, że człowiek z wielkiego przerażenia, np. wobec niechybnego niebezpieczeństwa śmierci, osiwieje w ciągu paru godzin. A nawet i umrzeć można z przestrachu. Gazety warszawskie donoszą, że gdy niedawno temu wybuchł pożar na jednej z ulic, właściciel tego domu, Szlojma Wachter, dostał z przestrachu na widok płomieni tak silnego wstrząśnienia, że padł trupem na miejscu, a pomoc lekarska już na nic się nie przydała. Widok pożaru go zabił.

Niedbalstwo parobka. U pewnego gospodarza we wsi Lewkowice, na Śląsku pruskim, parobek nie uwiązał był konia u żłobu. Koń chodził w nocy po stajni i naszedł na pościel, gdzie spali parobcy. Jednemu z nich koń ugryzł nos. Oto skutek karygodnego niedbalstwa.

Zastrzelony dyabeł. Pewien wieśniak w Dolnej Austryi sprzedał na jarmarku dwa woły, a pieniądze schował do komody w izbie. Nazajutrz wieczorem poszedł z żoną, starszym synem i córką do gospody na muzykę, a w domu zostawił tylko najmłodszego, dwunastoletniego chłopca. Późnym wieczorem, nim chłopiec usnął, posłyszał, że ktoś śmiało otwiera drzwi od mieszkania. Zerwał się i pyta: »Czy to tatuś i mama?« Drzwi się w tej chwili szeroko rozwarły i w oświetlonej izbie ukazał się w całej paradzie dyabeł, z koźlimi rogami na głowie, gębą czarną, jak sadza i wywieszonym, czerwonym jęzorem. »To nie tatuś — odparł srogo dyabeł — tylko ja, Dyabelska Mość! Ukłoń mi się pokornie i jeśli chcesz, abym cię w tej chwili nie porwał do piekła — mów zaraz, gdzie ojciec schował pieniądze za woły!« Wystraszony chłopiec, dzwoniąc zębami z trwogi, wyjąknął pokazując na szufladę w komodzie:

— »Tutaj, wielmożny panie dyable!« — »Tak, to mi się podoba, nie pójdziesz do piekła — rzekł zadowolony pan dyabeł, dobył pęk wytrychów, jednym odrazu otworzył zamek, zabrał pieniądze i na odchodnem pożegnał chłopca; »No bądź zdrów, synu, a pozdrów pięknie ojca odemnie!«



Podczas dobywania się dyabła do komody, rezolutnemu chłopcu błysła myśl, że to może tylko złodziej, który dla postrachu udaje dyabła. To też gdy mniemany syn piekła, odchodząc, otwierał drzwi, malec w okamgnieniu porwał ze ściany ojcowską nabitą fuzyę i wypalił »dyabłowi« w plecy. Ten z głuchym jękiem zwalił się z nóg, chłopiec zaś pobiegł do gospody z dymiącą strzelbą w ręku, a znalazłszy tam ojca, zaczął wołać od progu: »Tato zabiłem dyabła! zabiłem dyabła!« Ojciec, matka, rodzeństwo i wszyscy goście zaraz pobiegli na miejsce wypadku i przekonali się, że »dyabłem« był parobek z sąsiedniego domu, który już nieraz sztuczek złodziejskich próbował i że w istocie śmierć poniósł. Nasz pierwszy obrazek przedstawia »dyabła« rabującego pieniądze w komodzie; drugi — padającego od strzału chłopca.

Osobliwe samobójstwa. Ludzie zrozpaczeni, nawet przed rozstaniem się z życiem, starają się zrobić coś niezwykłego. Niektórzy, postanowiwszy zginąć samobójczą śmiercią, starają się uczynić ją zupełnie odmienną od znanych sposobów odbierania sobie życia. W swoim czasie pewien oficer zastrzelił się z armaty i gazety całego świata rozniosły ten wypadek jako niebywałą osobliwość. Teraz znów pewna kasyerka z Lublany, posądzona niesłusznie o kradzież wybrała niezwykły sposób samobójstwa. W tym celu wybrała się w góry, w Alpy, zaopatrzona w długi sznur. Jeden koniec sznura przyczepiła do drzewa, rosnącego nad przepaścią, drugi owinęła sobie koło szyi. Dokonawszy tych przygotowań, rzuciła się w przepaść. Oczywiście, że śmierć nastąpiła natychmiast.

Niewczesna odwaga. W Pradze, zajęta przy budowie kamienicy młoda robotnica przechwalała się bardzo swoją odwagą, oświadczając, że uchwyciwszy się zwykłego sznura do wyciągania wapna, da się wywindować trzy razy tam i napowrót na trzecie piętro. W ciągu windowania dziewczyny spódnica jej zahaczyła o klamrę tak, że zawisła pomiędzy niebem a ziemią. Dopiero jednemu z poważniejszych murarzy udało się pochwycić ją za rękę, przyciągnąć do rusztowania i wybawić z niebezpieczeństwa. Piękną i szlachetną cnotą jest odwaga, gdy się np. z narażeniem własnego życia ratuje życie bliźniemu — ale niedorzecznością i głupstwem jest igrać ze śmiercią z marnej próżności, aby się tylko odwagą popisać przed ludźmi.

Kobiety silne w pięści. W Wiedniu pewna Czeszka, pani Dworzakowa, przybywszy pewnego dnia do mieszkania, zastała u siebie wielce niemiłego gościa — pana złodzieja! Włamał się właśnie do mieszkania i szybko kradł garderobę z szafy, gdy pani Dworzakowa nagle przed nim stanęła. Inna kobieta byłaby się przelękła, narobiła krzyku i gwałtu w kamienicy, dzielna Czeszka wszakże odrazu rzuciła się na złodzieja, a choć ten zamierzył się na nią żelazem, ubezwładniła jego prawicę jedną ręką, a drugą chwyciła go za gardło. Zaczęło się szamotanie, Dworzakowa zakrzyknęła raz i drugi, zbiegli się sąsiedzi, przytrzymali złodzieja, którego też niebawem policyant aresztował. — We Lwowie znów w tych dniach wszedł do pewnej kamienicy na podworzec żyd, handełes. Stróżka kazała mu się wynosić, a gdy ten nie ustępował, mocna kobieta chwyciła go za kark i wyrzuciła na ulicę, ale z taką siłą, że upadłszy na bruk krwią się zalał. Podziwiać można siłę i energię takich kobiet, ale ich mężowie może nie zawsze z tych silnych pięści są zadowoleni.

Niezwykły grubas. W pewnem niemieckiem miasteczku koło Magdeburga żył sobie kupiec, któremu jakoś interes sklepowy nie szedł. Nie wiadomo dlaczego zyski miał małe; podobno nie bardzo sklepu pilnował, zaniedbywał go, a chłopcy sklepowi go kradli; podobno też zbyt dużo kosztowało go własne utrzymanie, bo apetyt miał ogromny, jadł za czterech, a ciągle był jeszcze głodny. Śmiali się sąsiedzi, że zjada swój sklep — to też sklep chudł, pieniędzy dawał coraz mniej — a właściciel grubiał tak bajecznie, że gdy szedł ulicą, stawał się przedmiotem powszechnej ciekawości i podziwu. Raz do owego miasteczka przybył pewien jego dawniejszy znajomy z Berlina i nie mógł go zrazu poznać, taki po kilku latach olbrzym stał się z niego. Bo był też człowiekiem niezwykłego wzrostu.



— Słuchaj bracie — rzekł mu — ależ ty się możesz za pieniądze pokazywać! To ci lepszy dochód przyniesie, niż sklep. Masz dopiero 26 lat, kto wie, jaki jeszcze wielkolud z ciebie się zrobi. Jedź ze mną do Berlina!

Grubas zgodził się chętnie na to i udał się do Berlina, gdzie istotnie w pewnym zakładzie osobliwości pokazują go za pieniądze. Zabawny miał wy-

padek, gdy wsiadał do dorożki z dworca kolejowego. Ledwie usiadł, pękło tylne koło powozu! Nie dziw, bo waży ten jegomość 6 cetnarów. Widzimy go na naszym obrazku obok powozu, który zrujnował.

Walka cyganów z policyą. Przed paru dniami miasto niemieckie Frankfurt nad rzeką Menem podczas jarmarku końskiego, miało niezwykłe widowisko. Oto na jarmarku kilku cyganów posprzeczało się między sobą, ze sprzeczki zaś powstała bójka coraz zaciętsza. Na to oczywiście nie mógł zezwolić policyant, wszedł więc między walczących i tego, co bójkę zaczął, chciał aresztować. Lecz cyganie aresztowanego natychmiast odbili i jeden do policyanta strzelił, lecz go nie trafił.



Na odgłos strzału zbiegło się natychmiast kilku policyantów z pobliskich ulic, a gdy cyganie aresztowanego wydać nie chcieli, wywiązała się między nimi a policyą zacięta walka. Podczas niej policyanci musieli użyć broni, cyganie zaś gęsto strzelali z rewolwerów, które z sobą mieli. Koniec awantury z cyganami był taki, że paru policyantów i kilkunastu cyganów odniosło rany, a 25 cyganów aresztowano. Obrazek nasz przedstawia tę krwawą walkę.

Wspólne życie, wspólna śmierć. Pewien bardzo podeszły wiekiem robotnik w Niemczech nazwiskiem Samuel Schwarz, liczący lat 90 i 89 letnia jego żona, zmarli w jednej i tej samej godzinie. Żona Schwarza uskarżała się od dłuższego czasu na bóle wewnętrzne, które spowodowały jej zgon. Gdy Schwarz dowiedział się o śmierci żony padł trupem, rażony udarem mózgu.

Niedorzeczny zakład. Młodym ludziom zdaje się nieraz, że młodzieńcze ich siły, ich żołądek, ich płuca, wszystko wytrzymają. Któż nie słyszał, że często młodzi ludzie zakładają się, kto więcej kieliszków wódki wypije. Często życiem przypłaca niedoświadczony młodzieniec taki zakład. W Prusiech w tych dniach młody kadet (uczący się na oficera) założył się z kolegą, że zje 13 talerzy zupy. Zachorował potem ciężko i musiano go umieścić w domu chorych, gdzie podobno już zmarł.

Bohaterski kolejarz. Przy jednym z przejazdów kolejowych w mieście Essen, w Niemczech, gdzie fabrykują armaty, weszło, mimo zamknięcia baryery małe dziecko na tor kolejowy, gdy wtem nadjechał rozpędzony pociąg osobowy. Dozorca kolejowy, widząc, że lada chwila dziecko wpadnie pod koła lokomotywy, bez namysłu jednym susem rzucił mu się na ratunek, porwał je, odrzucił o parę kroków, lecz sam już nie zdołał ujść przed kołami maszyny, która też zabiła go na miejscu. Dziecku nic się nie stało, szlachetny jednak jego wybawca poniósł śmierć.

Śmierć pozorna, czyli letarg. Gazety rosyjskie donoszą, że do szpitala w Jekaterynosławiu odstawiony został z aresztów policyjnych pewien wieśniak, który zapadł w sen letargiczny i pozostaje w nim od 6 marca. Lekarze utrzymują, że letarg wywołało silne wstrząśnienie nerwowe. Ów wieśniak oskarżony jest o udział w napadzie rabunkowym na pociąg kolejowy. Smutne będzie miał przebudzenie, jeśli się wogóle z tego letargu obudzi: czeka go sąd i surowa kara więzienia.

Poseł złodziejem. Podczas otwarcia wystawy maszyn i przyborów do latania w Petersburgu ciekawy zdarzył się wypadek. Do latawca wykonanego dla wystawy w drobnych rozmiarach zbliżył się starszy, szykownie ubrany pan i, upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, ściągnął go ze stołu i pospiesznie ukrył w kieszeni. Aliści dostrzegł to ktoś z publiczności, zawiadomił komitet i złodzieja pochwycono w chwili, gdy wsiadał do dorożki. Przyłapany wyraził ogromne oburzenie z powodu podejrzeń, lecz zniewolony do wydobycia przedmiotu z kieszeni oświadczył, iż wziął go sobie na pamiątkę, podobnie jak to czynił na innych wystawach. Zapytany o nazwisko oświadczył, że jest członkiem Dumy państwowej i posiada godność szambelana dworu. Można sobie wyobrazić, jakie było zdziwienie obecnych. Przedmiot skradziony przedstawiał wartość 10 do 15 rubli. Miał się też na co pan poseł łakomić! Powiadają, że ma bzika...

Dwa zgony na weselu. Z Belgradu, w Serbii, donoszą: W dniu 11 b. m. odbywało się wesele córki właściciela ziemskiego, p. Stefana Bordacsa. Gdy orszak weselny stanął przed kościołem, zasłabła nagle 95-letnia babka panny młodej i zmarła przed zakończeniem obrzędu ślubnego. Następnie podczas uczty weselnej zrobiło się znowu słabo matce panny młodej, pani Bordacsowa zakończyła życie w kilka minut po zasłabnięciu. Smutny młoda para będzie mieć »miodowy miesiąc«, gdy rozpoczęli wspólne życie pod wrażeniem dwóch zgonów najbliższych osób podczas obchodu weselnego!

Płonący klasztor. Gazety donoszą o groźnym pażarze klasztoru żeńskiego prawosławnego i cerkwi w jednem z miast w głębi Rosyi. Pożar wybuchł z niewiadomej przyczyny późną nocą i od razu ogarnął wnętrze cerkwi. Zanim przybyła straż ogniowa płomienie rozhulały się już na dobre w świątyni, która mieściła w sobie ogromne skarby w postaci starych, kosztownych obrazów, złotych i srebrnych krzyżów, monstrancyj, kielichów, wotów i tym podobnych zabytków starożytności.



Wszystkie te skarby zostały uratowane. Nie dokazała wszakże tego straż ogniowa, lecz dzielne mniszki, które, nie bacząc na niebezpieczeństwo grożące im od ognia, przyodziawszy się na prędce wszystkie, rzuciły się do cerkwi i z niesłychaną przytomnością umysłu powynosiły co tylko starożytna cerkiew posiadała cennego. Obrazek nasz przedstawia właśnie tę chwilę, gdy zakonnice ratują skarby swej świątyni.

Milion w złocie. Wiemy wszyscy, że milion jest to tysiąc tysięcy; jak jednak taka suma pieniędzy na przykład położona na stole wygląda, wiedzą o tem tylko kasyerzy wielkich banków, którzy wielkimi pieniędzmi ciągle obracają, no — i milionerzy, szczęśliwi posiadacze mnóstwa pieniędzy. Wyobrazić sobie można, że milion koron w banknotach, to jest pieniądzach papierowych, tworzy tylko grubą paczkę. Ale milion w złocie to jest ciężar ogromny i stos pieniędzy niemały.



Nasz obrazek przedstawia ułożony na stoliku milion koron w złocie, składa się na niego pięćdziesiąt tysięcy złotych dwudziesto-koronówek, a waży około ośmiu cetnarów. Nie lada siłacza potrzeba, aby taki ciężar udźwignąć!

Bocian z Polski. Pisma warszawskie donoszą o następującem, bardzo ciekawem zdarzeniu: p. Hordliczka, właściciel Huty w guberni siedleckiej, przywiązał przed rokiem młodemu bocianowi tabliczkę z napisem: »Ten bocian jest z Polski«. W jesieni bociek odleciał na południe. Obecnie z pierwszymi powiewami wiosny bocian ten powrócił i osiadł na stodole w zabudowaniach gospodarczych p. Hordliczki. Gdy go p. Hordliczka złapał, znalazł ku niemałemu swojemu zdziwieniu pod swoim napisem na tabliczce nie wiadomo czyją ręką, w języku łacińskim napisane słowa: Pozdrowienie z Włoch«.

Psy w służbie pocztowej. Gazety włoskie opisują wielkie przysługi, jakie spełniają w Alpach, bardzo wysokich górach, psy w roli listonoszy. Na granicy między Francyą a Włochami widnieją wśród gór strażnice, małe forteczki, niedostępne dla ludzi w czasie śnieżyc i z.mieci. Na zimę otrzymują załogi obfite zapasy wiktuałów, odcięci od świata pozostają jednak w przykrem położeniu. Komunikacyę z dolinami, przenoszenie listów, czesopism i drobiazgów codziennego życia spełniają wtedy psy, t. zw. »bernardyny«, ogromne kudłacze, dążące w pełnem poczuciu swego obowiązku z naładowaną listami i przesyłkami torbą skórzaną przez śniegi i lody do celu wędrówki.

Austro-Amerykana-Tryest. Wykaz dochodów ruchu i odbytych mil morskich: Przychód do końca marca 1911 K. 7,262.433; 1910 r. K. 6,846.565, zatem więcej o 415.868 Kor. — Ilość odbytych mil morskich do końca marca 1911 r.: 381.680, 1910 r.: 366.889, zatem więcej o 14.791 mil.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Kazimierz Tokarski w W.: Szkoda, że Pan nie przysłał fotografii, bylibyśmy ją chętnie umieścili. Tylko pocztę się opłaca więcej nic. — Wróbel Albin w W.: Kto zawinił nie wiemy — wysyłamy drugi raz. Poprzedniego wracać nie trzeba, zaś za ten nic się nie należy. — Ktoś z Chorośnicy nadesłał czekiem 1 Kor., nie podawszy swego nazwiska — prosimy więc aby to uczynił, gdyż inaczej nie możemy »Roli« wysyłać. — Suchy Franciszek w J.: Na co przeznaczone 40 h. przesłane czekiem? — Michał Dudek w Ż.: Książkę wysłaliśmy, czyżby nie doszła? — Ignacy Paśko w W.: Kronika w numerze. — Józef Kubielas w B.: Dobrze, ale należy się za zmianę adresu, a i prenumerata w Niemczech droższa. — Jan Liskowicz w K.: To tylko ostrożność Obecnie nadesłany słabszy.

Potwierdzenia prenumeraty:

Kościelniak Sebastyan z O. (2 K.), Macierz polska, Lwów (4 K.), Andrzej Nycz z P. (2·20 Kor.), Horak Jan z Z. (4 K.), Ks. Rudolf Płoszek z Z. (4 K.), Antoni Bartman z U. (10 K.), Józef Berek z K. (1 K.), Piotr Kowalczyk z W. (2·20 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 23 maja:

Buhaje	Kor.	100	do	400	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	130	„	300	„
Jałówki	„	150	„	220	„
Cielęta	„	20	„	60	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie (bita waga)	„	140	„	154	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 23 maja:

Pszenica	Kor.	11·76	do	12·35	za 50 kg.
Żyto	„	8.30	„	8·70	„
Jęczmień	„	7.60	„	8·40	„
Owies	„	8·75	„	9·25	„
Otręby pszenne	„	5·40	„	5·60	„
Otręby żytnie	„	5·15	„	5·25	„

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA PRZYSŁOWIOWA.

(Ułożył Franciszek Krzanowski z J. p.).

Podane niżej litetry przeczytać tak, by oznaczyć przysłowie.

K, Toz, A, M, Ł., o, Dun, I, E, p, R, Acu, jet, En, nas, T, A, R, O, ś, ć, B, Ie, D, u, J, E.

2. OBELISK.

(Ułożył Jan Głowacz z Ż.).

			a	a	a			
			a	a	a			
			a	a	a			
			a	c	b			
			c	d	d			
		d	e	e	e	e		
		h	i	i	i	i		
	k	k	l	l	l	l	l	
	l	l	m	n	n	n	n	
	n	o	o	r	r	s	t	
t	u	w	w	y	y	y	z	z

Spójnik.
Rzeka w Afryce.
Przyimek.
Mieszkanie pszczół.
Zwierzę.
Konkurent.
Miasto europejskie.
Miejsce kąpielowe w Galicyi.
Imię męzkie.
Trotuar.
Tytuł dzieła.

Z liter zawartych w obelisku ułożyć wyrazy, których znaczenie jest powyżej podane, w ten sposób, by rząd środkowy z góry do dołu czytany dał tytuł dzieła poety polskiego, rząd podstawowy tytuł drugiego dzieła tegoż poety.

3. KWADRAT MAGICZNY.

(Ułożył Ignacy Warzała z Łęgu).

e	e	a	a
m	m	w	w
n	n	i	i
l	l	o	a

Imię męzkie.
Różna jest na świecie.
Imię męzkie.
Żelazo niekute.

4. ZAGADKA.

(Ułożył Piotr Bednarz z T.).

Pierwsza z drugą jest nazwą miasteczka da- [wnego,
Które dumnem być musi z wina cudownego.
Pierwsza z trzecią jest szata, kapłan jej używa,
Gdy nieszpory lub »rekwiem« za umarłych [śpiewa.
Trzecia z pierwszą potrzebna w niej, składasz [towary,
Całość sprzęt to domowy do człowieka miary.

5. ZAGADKA.

(Ułożył Rudolf Kula z M. K.).

Czterej rzeźnicy zabili jednego wołu a Każdy otrzymał całą głowę — jak to było?

6. SZARADA.

(Ułożył Ludwik Uryga z Ż.)

Pierwsze z trzeciem na towar używane,
Trzecie z pierwszem przy kominie dane,
Pierwsze z drugiem to robią i dzieci,
Drugie z trzeciem na kawałki leci.
A wszystko w całości widzisz tylko na wsi.

* * *

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy do wylosowania:

1) ***W pomroce wieków*** piękną książkę z obrazkami.
2) ***Obowiązek*** powieść oprawną.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 3 czerwca 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nr. 20 *Roli*: 1) Zagadki: 1. **Łaska,** 2. **Rów-wór,** 3. **Piłka,** 2) Szarady: 1. **Palica,** 2. **Krawiec,** 3. **Leniwiec.**

* * *

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:

A. Stana z W. G., J. Ermel z R., P. Juroszek z I., H. Łukaszewski z J., M. Radlmesserówna z S., A. Bezokówna z K. m., J. Spławiński z J. P., Sz. Bogusz z Z., Moś Jan z Cz., S. Rakoczy z L., Koło »Macierzy szkolnej« z S., F. Lebiedzik z M. K., A. Żebrok z B., K. Żyła z F., S. Kumięga z T., A. Warchoł z Z., J. Hirszberg z K., W. Dziwisz z W. r., B. Zachariasiewicz z K., Z. Bogdański z J., K. Szeliga z B., F. Klocek z N. T., S. Dziadyk z M.. K. Suchanek z W. g., J. Szczyrba z C. G., W. Szczygieł z G., A Kardysz z Ż., I. Warzała z Ł., A. Janas z K., J. Stypuła z W., P. Gródek z B., Kalityński Wł. z P., Fabian Święch z O.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Bajki*** Andersana, wylosował p. **Jan Stypuła** z W., zaś drugą p. t. ***W kraju mężnych Boerów*** p. **Ignacy Warzała** z Ł.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego